Nr. 21. Poznań, dnia 27 Maja 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 21-go.

Dział polityczny: O „Straży“ szereg uwag krytycznych. II. — Ratusz poznański, jego przeszłość i przyszłość. — Wybory w Bytomsko-Tarnogórskiem. — Kościerzyna przeciwko germanizacyi w kościele. — Votum zaufania dla „Straży“. — Korespondencya z Galicyi. — Tydzień polityczny. — Przegląd prasy. — „Straż“. — Ruch w Towarzystwach. — Wiadomości.

Dział powieściowy: Nim wzejdzie dzień... (Ciąg dalszy). — Dwudziestoośmioletnie wygnanie. (Ciąg dalszy). — Dla milionów. (Ciąg dalszy). —

Dział illustrowany: Przed 75-ciu laty. (Wspomnienie historyczne) VI. Bitwa pod Ostrołęką, dnia 26-go maja. — Objaśnienie planu bitwy pod Ostrołęką. — Bój pod Ostrołęką. (Wiersz). — Dwie doby pamiętne w Mińsku. — Do posłów. (Wiersz). — † Jan Zacharyasiewicz. — Dezerter. (Ciąg dalszy). — Moje skrzypeczki (Wiersz). — Mostek na Przemszy. — Manifestacya francusko-polska. — Nasza ofiarność. — Nekrologia. — Wiadomości literackie i artystyczne. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dział kobiecy. — Rozmaitości. — Humorystyka.

Illustracye: albumowa: Plan bitwy pod Ostrołęką. — Adam książę Czartoryski. — Ułan polski z 1831-go roku. — Po bitwie. — Na studyach. — Daniel w jaskini lwów. — † Jan Zacharyasiewicz. — Zapatrzona. — Mostek na Przemszy.

O „Straży“

szereg uwag krytycznych.

II.

Uprzytomniwszy Czytelnikowi genezę „Straży,“ oraz omówiwszy zadania Głównego Zarządu, przystępujemy obecnie do krytycznego oświetlenia programu pracy, który postawiły sobie poszczególne

sekcye.

Zakres pracy w pierwotnym regulaminie nie był ściśle określony. Z powodu tego uderzono gwałtownie w „Straż“ — oczywiście w jej Główny Zarząd.

Nas brzmienie starego regulaminu zgoła nie dziwiło i nie dziwi. Przeciwnie bylibyśmy się dziwili, gdyby Główny Zarząd w pierwszych dniach swego urzędowania był zasiadł do zielonego stolika i zadekretował: to a to będziecie panowie w sekcyach robili, tego zaś nie. Uważamy za jedynie prawidłowe, że sekcye poszczególne same wypracowały sobie program pracy. Ten program podyktowała praktyka życiowa, oparta na zasadzie podziału pracy, a nie teoretyczna kalkulacya.

Zresztą zapanowały wskutek braku ściśle sformuwołanego programu pracy nieporozumienia jedynie w dziale ekonomicznym „Straży“. I tu doświadczenie najlepszem było lekarstwem. Zrozumiano, że „Straż“ może sie wyłącznie temi zajmować sprawami, które leżą *w bezpośrednim naszym publicznym interesie narodowym.* Tę zasadę niech sobie każdy Polak raz na zawsze wyryje w mózgu i sercu.

Ta zasada jest czemś żywem; ona ostać się musi zawsze i wszędzie. Martwą natomiast literą, wcale nie tak wiele mówiącą, jak się niektórym zdaje, jest sformułowanie programu pracy sekcyi, zawarte w nowym regulaminie, uchwalonym na ostatniem zebraniu starostów „Straży“ (porównaj odnośny komunikat „Straży“ w dzisiejszym numerze).

My publikacyę tę swoją drogą chwalimy. Jest ona krótkiem ujęciem sprawozdań przewodniczących sekcyi z ostatniego walnego zebrania „Straży.“ Być może, że publikacya ta jednych oświeci, drugich — uspokoi. Prosimy jednakowoż nie mniemać, że ten świstek regulaminowy będzie zbawieniem „Straży,“ jej „reformacyą,“ czy też „renesansem“. Świstek pozostanie świstkiem, a życie życiem i praca pracą.

Naszem zdaniem uwaga ogółu, a przedewszystkiem społeczników w tym powinna być zwrócona kierunku, by spotęgować życie i podwoić pracę. Otwarcie przeto przyznać musimy, że bylibyśmy woleli, gdyby krytycy „Straży“ — zamiast utyskiwać na Główny Zarząd — byli choć jedną pozytywną myśl podali. To jednakowoż nie stało się zgoła. Zaiste łatwiej napisać dziesięć artykułów zawierających czysto negatywną krytykę, aniżeli podać jednę pozytywną myśl i myśl tę w czyn zamienić użyteczny.

1) *Sekcya organizacyjna* ma zadania od samego początku jasne: agitacyę za pomocą wieców i druków, oraz ujęcie szerokich kół społeczeństwa w karby organizacyjne.

Agitacya była od pierwszej chwili nader intensywna, czego dowodem blisko setka wieców w przeciągu pół roku urządzonych, oraz pokaźna liczba 16 tysięcy członków organizacyi.

Agitacya miała jednakowoż z początku i ujemną swą stronę: prowadzona była zbyt hałaśliwie, na sposób reklamy; dziś przybrała charakter poważny, a na energii bynajmniej nie straciła.

Jak agitacya jest podstawą organizacyi, tak organizacya podwaliną dopiero właściwej pracy, dzielącej się na trzy pozostałe sekcye „Straży.“

2) *Sekcya prawno-polityczna* kroczy zupełnie pewnym i wyraźnym szlakiem. Zasada ograniczania się do spraw publicznego znaczenia narodowego bardzo jasną kreśli granicę kompetencyi niniejszej sekcyi, która z natury rzeczy na plan pierwszy wysuwa: zakazy z dziedziny prawa o stowarzyszeniach i zebraniach publicznych, sprawy szkolne i wychowawcze, spory o zapisywanie przez urzędników polskiego brzmienia imon i nazwisk, oraz szykany na podstawie noweli osadniczej.

Życzyćby sobie tylko należało, by do sekcyi prawno-politycznej przystąpiło szersze grono naszych prawników.

Tylko podział pracy może sekcyi tej umożliwić prawidłowe funkcyonowanie.

3) *Sekcya kulturalna* bodaj bardziej jeszcze od prawno-politycznej skarżyć się musi na brak sił. Brak sił intelektualnych dotkliwiej się odczuwa od skromnego zasobu funduszów.

O ile sekcya prawno-polityczna pracę swą opiera na zawodowej zdolności i rutynie swych członków, o tyle sekcya kulturalna rozporządza siłami niefachowemi, a w dodatku są jej zadania bardzo różnorodne, tak, że odnośny paragraf regulaminu mógł je scharakteryzować tylko ogólnikowo i niewyczerpująco.

W sekcyi kulturalnej winna się zaangażować możliwie wielka liczba sił inteligentnych, wiadomo bowiem, że właśnie pod względem pracy kulturalnej stosunkowo najmniej się czyni w społeczeństwie zaboru pruskiego. A zarazem dąży żywioł niemiecki celowo i systematycznie do zalania nas swoją cywilizacyą prusko-niemiecką.

O sprzeciwienie się zasadzie służenia wyłącznie publicznej sprawie narodowej nikt w sekcyi kulturalnej obawiać się nie potrzebuje zgoła; tak samo unika wspomniana sekcya skrupulatnie wejścia w konflikt z istniejącemi już towarzystwami oświatowemi.

4) *Sekcya ekonomiczna* ma najmniej wdzięczne zadanie. Pomijamy już zupełnie niezdrowe apetyty i pretensye gorszych elementów, domagających się od sekcyi ekonomicznej pożyczek, a nawet łapówek w przypadkach o czysto prywatnym charakterze. Na to istnieje dobre lekarstwo, a mianowicie jasna i stanowcza odpowiedź: nie!

Niezależnie od tego jednakowoż, właśnie w ekonomicznych sprawach najtrudniej pociągnąć granicę między prywatnym a publicznym interesem.

Trzy punkta programu pracy sekcyi ekonomicznej nie pozostawiają zasadniczo żadnych wątpliwości: zbieranie materyałów statystycznych, informowanie społeczeństwa o ekonomicznych warunkach i potrzebach, oraz szerzenie zdrowych zasad ekonomicznych.

Natomiast kwestya ułatwiania kredytu będzie dla sekcyi ekonomicznej nieraz bardzo twardym orzechem. Regulamin ogranicza wprawdzie ułatwianie kredytu do tych tylko przypadków, gdzie tego wymaga interes ogółu.

Czy jednakowoż korzyść prywatna nie jest w naszych warunkach bardzo często połączona z istotną, choć pośrednią korzyścią publiczną? Czy sekcya ekonomiczna będzie w tak licznych przypadkach mogła podjąć się pośrednictwa w tej czy owej formie? Czy nie będzie musiała dawać odmownej odpowiedzi wbrew „interesowi ogółu" z prostej przyczyny, że nawet „ułatwianie" kredytu uzna za utopijne, niemożliwe? Czy odmowna odpowiedź nie wywołała kwasów i zarzutów, że nie wszystkich równą mierzy się miarą?

Z tą ewentualnością niech się za wczasu liczą kompetentne czynniki, które ułatwianie kredytu uznały za pożądane, a nawet konieczne.

My ze swej strony Czytelnikom zwracamy uwagę, że zastrzeżenie: „gdzie tego *wymaga* interes ogółu", nie obejmuje tych przypadków, gdzie celem jest korzyść prywatna, a interes ogółu tylko towarzyszącym momentem ubocznym. Przeciwnie sekcya ekonomiczna w te tylko może się wdawać sprawy, gdzie celem jest bezpośredni interes publiczny, a korzyść prywatna tylko środkiem.

Niech Czytelnicy sami tę kwestyę głęboko i sumiennie rozważą, a zrozumieją, że, gdyby sekcya ekonomiczna nie postępowała bardzo oględnie, spowodowałaby raczej osłabienie inicyatywy i rzutkości prywatnej, aniżeli jej spotęgowanie. Trwałe podwaliny bytu ma tylko ten, który na własnych opiera się siłach, nie zaś ten, który na innych się ogląda i zewsząd wyczekuje jałmużny.

Na zakończenie niech uwagę Czytelnika na chwilę zajmie jeszcze

decentralizacya „Straży".

O kwestyi tej w różnych kołach mówiono już niejednokrotnie. Publicznie jednakowoż poruszył ją pierwszy pan mec. Drwęski.

Myśl niewątpliwie dobra. Chodzi o to, by nietylko władze centralne wraz ze starostami i komisarzami pracowały, lecz ażeby *szerokie masy* członków „Straży" w pracy tej zostały zaangażowane i tym sposobem nauczyły się samodzielności myślenia i działania.

Natomiast środek, który p. Drwęski zaleca, uważamy za niemożliwy. Pan D. życzy sobie, krótko powiedziawszy, stworzenia w poszczególnych miastach i wsiach lokalnych towarzystw i połączenia ich następnie w jeden związek.

Pytamy się wobec tego: na co tworzyć nowy związek towarzystw? Czyż nie byłoby rzeczą korzystniejszą uczepić się jednej z istniejących już organizacyi, n. p. „Sokoła", rozszerzyć zakres jej działalności, a nie trwonić czasu i sił na budowanie nowej organizacyi?

My jednakowoż i taki projekt uważalibyśmy za niefortunny. Towarzystwa funkcyonowałyby na papierze, ale nie w rzeczywistości. Przecież znamy dzisiejszy wątpliwy stan towarzystw na prowincyi, nie wszystkich oczywiście, ale olbrzymiej ich części! Wegetują zaledwie — dla braku sił chętnych a zarazem wyrobionych, zdolnych do kierowania towarzystwem i rozbudzenia w niem życia.

Gdybyśmy zgoła wedle projektu pana D. potworzyli nowe towarzystwa, musielibyśmy w niejednej mieścinie walczyć nietylko z brakiem sił, lecz nie mniej z uprzedzeniem „konkurencyjnem," nieraz z obskurantyzmem. Tam znaczy: powołać nowe towarzystwo do życia tyle, co narazić się wszystkim dotychczasowym.

„Straż" musi się rozwijać w kierunku decentralizacyi, lecz na innej drodze.

Niech panowie starostowie i komisarze pamiętają, że cały zakres działalności „Straży" rozpada się na cztery gałęzie wedle czterech powyżej omówionych sekcyi. Ten podział niech będzie dla nich wytyczną. Niech dobiorą sobie ludzi do pracy i potworzą na swym powiatowym czy lokalnym terenie cztery wydziały pracy.

Nie mamy oczywiście na myśli kreowania nowych urzędników nieprzewidzianych statutem, chodzi nam wyłącznie o *faktyczny podział pracy*.

W ten sposób pracę podzielić, nie znaczy jeszcze tworzyć towarzystw.

Starostowie i komisarze winni oczywiście do pracy przyciągnąć ile możności inteligentne żywioły z *ludu*.

Przeświadczeni jesteśmy, że stosunki naturalnym trybem rzeczy w ten sposób się ułożą, a częściowo nawet już się ułożyły. Nie trzeba tylko być zbyt gorącym „reformatorem"; żadna młoda organizacya nie może od pierwszej chwili być ideałem, — musi szukać dopiero dróg, przyczem błądzi. O ile ze zdrowych i rozsądnych składa się żywiołów, spokojna ewolucya powiedzie ją do pożądanego celu. *M. S.*

Ratusz poznański,

jego przeszłość i przyszłość.

(Dokończenie).

Wieża dzisiejsza pochodząca z czasów Stanisława Augusta, pod względem form i przepychu w przybliżeniu podobno równać się nie może z dawnemi, mianowicie z tą z roku 1698, która wedle ówczesnej opinii była arcydziełem sztuki budowniczej, podziwianem przez monarchów i architektów dalekich stron. W roku 1725 olbrzymi huragan zwalił bogatą wieżę, którą miesz

czaństwo wojnami wyszarpane na razie zastąpiło skromną wieżą.

Dopiero za czasów Stanisława Augusta w roku 1783 wzniesiono nową wieżycę, naśladując (nie dostatecznie umiejętnie) ową z przed roku 1725. Zarazem dokonano restauracyi ratuszowego gmachu i przytwierdzono na szczycie wieży orła polskiego z miedzi. Uroczystość ta odbyła się 19-go lipca w obecności niezliczonych tłumów przy odgłosie dział.

Tyle o przeszłości chluby i ozdoby miasta Poznania.

Teraz kilka uwag krytycznych o planach na przyszłość.

Ażeby czytelników „Pracy“ zbytnio nie nużyć, pomijamy mniej ważne punkta projektu restauracyi, zatrzymując się wyłącznie przy najbardziej spornem i niebezpiecznem zagadnieniu, stawiającem nas przed pytaniem, czy restauracya wykonana być winna jednobarwnie, czy też różnobarwnie (polichromicznie).

Pierwsze stanowisko zajęła królewska akademia dla spraw budownictwa, drugie większość rady miejskiej.

Nie ulega wątpliwości, że w przeszłości ratusz nasz był różnobarwny; w jakim charaktorze i w jakim stopniu trudno dziś stwierdzić. W każdym razie i dziś jeszcze widoczne są resztki polichromii, — oprócz portretowych malowideł na polach ślepych arkad fasady, polecamy obserwacyę północnej n. p. strony (od ulicy Wronieckiej).

Mimo polichromicznej przeszłości naszego gmachu ratuszowego, piszący te słowa już przed zebraniem rady miejskiej, na którem polichromiczną restauracyę zadecydowano (w końcu kwietnia), z całą stanowczością na łamach „Słowa Polskiego“ wystąpił przeciwko narzuceniu ratuszowi różnobarwnej szaty.

Przeciwko polichromii dwa bowiem przemawiają względy.

Pierwszy jest natury czysto estetycznej. Różnobarwne odnowienie ratusza połączone jest z wielkiem ryzykiem. Jedynie nader subtelny dobór barw w szczegółach i genialne sharmonizowanie całości mogłoby się złożyć na godne, królewskie wrażenie, jakie nasz gmach ratuszowy ze swem monumentalnem obliczem fasady bezsprzecznie robić powinien. Jeżeli intuicya i umiejętność restauratora choćby tylko w pewnym stopniu zawiedzie, doznamy po niewczasie gorzkiego rozczarowania: z najwspanialszego gmachu poznańskiego pierzchnie cały jego urok czarodziejski.

Z tem, cośmy powyżej powiedzieli, łączy się jeszcze jedna kwestya estetycznej natury.

Wedle projektu prof. Zeidlera, przyjętego przez radę miejską, polichromia ma uwzględnić różnorodność części architektonicznych, składających się na dzisiejszy ratusz. Otóż taka polichromia zburzy dzieło, zniweczy zasługę długich wieków, które, lżejszej i weselszej architekturze fasady nadając ton ciemno-szary, nieomal ponury, przystosowały ją tem samem do zasadniczo cięższej struktury czworokątnego spodu wieży. Temu pod wpływem czasu i powietrza dokonanemu przystosowaniu się do siebie różnorodnych części architektonicznych projekt prof. Zeidlera wyraźny zadaje gwałt.

Drugi wzgląd przemawiający przeciwko polichromii jest natury historyczno-narodowej. Nie jest jeszcze rzeczą ostatecznie zadecydowaną, lecz więcej niż prawdopodobną, że z miejsc, gdzie dotąd widnieją resztki portretów królów polskich (Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta) w przyszłości na nas spoglądać będą... Fryderyk II. i Wilhelm II.

Projekt ten popierają gorąco ci sami panowie, którzy „historycznemi“ względami uzasadniają konieczność polichromii, głosząc, że należy uwzględnić różnobarwną tradycyę ratusza. Czy do tej „tradycyi“ należą też wizerunki królów pruskich?

Projekt jednobarwnej restauracyi odrzucono między innemi z obawy, że jednobarwne wykonanie nużyłoby swą jednostajnością. Obawa ta była niewątpliwie w pewnej mierze uzasadnioną. Jednolity, poważny ton odpowiadałby jednakowoż względnie najwierniej dzisiejszemu charakterowi ratusza, który swą staroświecczyzną, swym ciemnym, poważnym tonem mówi nam o zamierzchłych wiekach, o lepszych epokach wielkości i chwały.

Oczywiście i jednobarwnie wykonana restauracya odebrałaby ratuszowi znaczną część dzisiejszego jego uroku. Ratusz w każdym razie straci charakter gigantycznej ruiny. Co ząb czasu wyszczerbił, to „naprawi“ dłoń rzemieślnika.

Niestety jest restauracya nieodzowna.

Powtarzamy: decyzya zapadła. Z miłością i lękiem spoglądamy na majestat gmachu ratuszowego, pytając troskliwie: jakież będzie twe jutro?

Nim jednakowoż to jutro nadejdzie, wiedźmy naszą młódź do stóp pomnika Zygmuntowskich czasów. Niech jej się w pamięć wryje dzisiejszy stary ratusz, niech go ukocha swojem młodem polskiem sercem.

M. S.



Wybory
w Bytomsko-Tarnogórskiem

odbędą się, jak wiadomo, 12-go czerwca. Kontrkandydatury p. Adama Napieralskiego mnożą się w obozie niemieckim, świadcząc wymownie, że wrogowie nasi nie wystąpią w szranki pod hasłem jedności i zgody, która w walce wyborczej szeregom polskim przyświecać będzie jako główna myśl przewodnia.

W obozie niemieckim 3 wypłynęły kandydatury, a mianowicie: *centrowa* pana Muschallika, inspektora kopalń hrabiów Hencklów w Karłuszowcu; *wolnomyślna* p. Stollego, burmistrza Królewskiej Huty, oraz *konserwatywno-nacyonalno-liberalna* p. Remy, generalnego dyrektora z Lipin.

Przeciwko panu Napieralskiemu stanie przeto 3 Niemców narodowców i jeden *socyalista* jako kompromisowy kandydat „polskich“ i „niemieckich“ socyalnych demokratów, a mianowicie Szołtysek dla Polaków, a Scholtyssek dla Niemców.

Polski Komitet Wyborczy ogłosił przed kilku tygodniami pierwszą odezwę, w której wytłomaczył, dla czego kandydatem ogłosił p. Napieralskiego.

Obecnie Komitet opublikował drugą odezwę, zawierającą najpierw odprawę, którą Komitet daje faryzeuszowskim centrowcom, a następnie osobiste polityczne wyznanie wiary p. Napieralskiego, z którem się Komitet solidaryzuje.

Dla braku miejsca opuszczamy uwagi Komitetu Wyborczego, a w streszczeniu tylko podajemy

Wyznanie wiary politycznej p. Napieralskiego:

Rodacy!

Ponieważ polski komitet wyborczy sali na zebranie wyborcze w całym naszym okręgu dostać nie może, przeto nie chcąc pozostać niemym kandydatem, zwracam się do Was z niniejszem pismem. Słusznie bowiem spodziewacie się, że powinienem Wam powiedzieć, jak poselstwo, do którego mnie Komitet wezwał, spełnić zamierzam.

Śmiało idę do Was i z ufnością przez to pismo wchodzę niejako do każdego waszego domu, bo wiem, że gdy na progu Waszym stanę i katolickiem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ Was pozdrowię, każdy z

Was „Na wieki“ mi odpowie i rękę na powitanie poda.

Ja wiem, że duch w Was żyje katolicki, duch silnej wiary, po przodkach wziętej i przez Was wiernie chowanej; że serce Wasze miłością płonie ku Bogu i ku temu, co po wierze najwięcej kochania jest godnem: narodowości polskiej, językowi ojczystemu, obyczajom i zwyczajom rodzinnym. Wiem o tem, bo przez 17 lat na to patrzę i przykładem Waszym się buduję.

A jam kto?

Oto redaktor katolickiej i polskiej gazety; redaktor, który swoim przekonaniom katolickim nie tylko w słowie i piśmie zawsze dawał wyraz, lecz i czynem je stwierdzał; redaktor, który ciepłem uczucia swojego polskiego serca rozgrzewać się starał serca współbraci do wszystkiego, co swoje i zapalać je do tego, co zacne i szlachetne.

Z wiary zatem i narodowości, z ducha i serca Wy i ja jesteśmy jedni. Przychodzę do Was, jak *swój do swoich,* ażeby Wam powiedzieć, jak *obowiązek mój poselski* sprawować będę, jeżeli mi go powierzycie.

A więc, obiecuję Wam, że zawsze będę stawał *w obronie wiary naszej świętej, wolności zupełnej Kościoła katolickiego i jego niezależności od rządów i możnych tego świata.* Na każdym kroku i przy każdej sposobności będę się domagał *równouprawnienia* dla katolików w państwie niemieckiem w każdym kierunku i pod każdym względem.

A więc obiecuję Wam dalej, *że narodowości polskiej, języka ojczystego i wszystkiego,* co istotę naszej polskości stanowi, bronić będę z szczególną troskliwością, ponieważ na nie właśnie nastaje w szczególnej mierze złość lub nierozum przeciwników.

Posłowie Koła polskiego, do którego wstąpię, odznaczają się, jak wiadomo, *nadzwyczajną w tej sprawie gorliwością;* przykład ich zacny będę się starał naśladować.

W myśl idei, jaka mną kierowała przy pracy dotychczasowej w domu na polu społeczno - ekonomicznem, żądać będę zawsze dla *wszystkich obywateli,* szczególnie jednak dla *całego pracującego ludu praw, zapewniających mu jak największą wolność* co do łączenia się w związki, co do organizacyi, co do poprawienia warunków pracy, zachowania przed wyzyskiem i pohańbieniem godności ludzkiej w robotniku przez brutalne i niegodne obchodzenie się z nim, zapewnienia mu *dostatecznego* za pracę *zarobku,* ochrony życia i zdrowia, gdy pracuje, ułatwienia mu bytu w razie nieszczęszczęścia i na starość oraz zapewnienia losu *pozostałym wdowom i sierotom.* We wszystkich tych sprawach będę się starał być rzecznikiem Waszych słusznych żądań i życzeń.

Nigdy przeto nie oddam głosu za powiększeniem podatków lub pomnożeniem ciężarów, któreby lud obciążały, owszem zawsze będę głosował za ulżeniem już i dziś lud gnębiących dotkliwie opłat.

Ponieważ wychodzę z założenia, że państwo przedewszystkiem dla dobra obywateli istnieje, przeto *nie zgodzę się na wydatki, podjęte w celach blichtru państwowego lub planów bezbrzeżnych,* sięgających za lądy i morza. Mam tu przedewszystkiem na myśli wzrastające z roku na rok wydatki na *wojsko, flotę i kolonie.*

Rodacy!

W tych dniach pewna niemiecka gazeta hakatystyczna napisała, że „sfanatyzowane masy“ wyborców polskich czekają z niecierpliwością dnia wyborów, aby wybrać Napieralskiego.

Wiecie, co te słowa znaczą? Oto owa gazeta myśli, jakobyście przez agitacyę polską podnieceni zostali do tego stopnia, że na ślepo, bez rozwagi, bez namysłu polecicie na wybory i oddacie mi głos.

Ta gazeta bardzo się myli i niesłusznie Was sądzi. A powiem więcej: Gdybym kiedykolwiek miał mieć takich wyborców, o jakich ta gazeta pisze, wolałbym się od posłowania cofnąć.

Albowiem ja nie pożądam mandatu poselskiego z namiętności, nienawiści lub zaślepienia, lecz za największy zaszczyt sobie poczytam, skoro otrzymam *mandat z równowagi miłości i przekonania wyborców. Szczęśliwy będę,* jeśli mnie wybiorą obywatele, którzy sobie dobrze *rozważyli,* co czynią, są świadomi ważności swojego postępowania *i z przekonania głos mi oddadzą.*

Dlatego nie z gorącemi hasłami, lecz ze spokojnem słowem do Was przychodzę. Nie podniecam Was, lecz powiadam: Bierzcie na rozum, co napisałem i postąpcie, jak Wam przekonanie każe. A jeżeli przy tem przyjacielskie Wasze serce ku mnie się skłoni, wdzięczny Wam będę i pomyślę, że długoletnia praca moja między Wami zdobyła mi *najsilniejszą nagrodę: Waszą miłość!*

Bytom, 8 Maja 1906.

Adam Napieralski.

Widzimy, że wyznanie wiary politycznej p. Napieralskiego jest bardzo umiarkowanie zredagowane, że przemawia raczej do łagodnego usposobienia ludu wiejskiego, aniżeli do temperamentu robotnika przemysłowego. Milczy też p. Napieralski zupełnie o swym stosunku do centrum, od którego odstąpił, uznając zasadę samodzielności polskiego ruchu narodowego.

Przeciwagitacya centrowa tymczasem nie przebiera w środkach. Centralny Komitet wyborczy wydał odezwę, której głównym celem wbicia klinu między „prawdziwych“ t. zn. spruszczałych Górnoślązaków w stylu kandydata centrowego p. Muschallika, a „obcych“ wielkopolskich agitatorów „partyjnych“. Zarazem dąży odezwa do odepchnięcia ludu od antypaństwowego, „rewolucyjnego“ ruchu polskiego, a rzucenia go w objęcia prusko-niemieckiej „ojczyzny.“

Odezwę tę podpisali wszyscy proboszczowie okręgu bytomsko-tarnogórskiego. Natomiast odmówił podpisu szereg wikaryuszy młodych. Na to zwracamy uwagę tym *publicystom poznańskim,* którzy sądzą, że gazeciarskiemi artykułami zdołają nawrócić księży starej daty, wychowanych i wzrosłych w odmiennych zupełnie warunkach od dzisiejszej doby. Młodzi księża, którzy się nie zesolidaryzowali z proboszczami swymi, to wychowańcy nowego kursu. Dyskusya w gazetach może wpłynąć pokrzepiająco tylko na tych, którzy już w sobie mają pierwiastki wyraźnie narodowe. Trzeba nad młodym elementem pracować z dnia na dzień, pracować zawczasu, pracować, gdzie po temu miejsce.

Odezwa centrowa jest niczem wobec wiecu, który się odbył w Tarnowskich Górach, i wygłoszonej nań mowy fanatycznego Prusaka, ks. prob. *Kökotta,* który rodowód swój wywodzi oczywiście z poczciwych polskich Kokotów.

Bohater wiecowy tak w streszczeniu argumentował: Napieralski i ruch polski wyszydzają ojczyznę (prusko-niemiecką) i miłość ojczyzny, występują w sposób wrogi państwu, a Kościół nakazuje kochać ojczyznę i zachować wierność cesarzowi i państwu. Zresztą agitatorzy wielkopolscy nie należą do Górnoślązaków; przyszli na Śląsk tylko dla spekulacyi, dla chleba. Ich ruch jest antypaństwowy i dla tego antyreligijny.

Także ze względów czysto religijnych należy zwalczać kandydaturę p. Napieralskiego. Walczył on bowiem od początku przeciwko duchowieństwu, a tem samem przeciwko Kościołowi. Niedorzecznością jest nawoływanie że

księdza słuchać należy tylko w kościele, lecz nie w publicznm życiu politycznem. Polacy są gorsi od socyalnych demokratów, ponieważ nadużywają religii do swoich celów partyjnych.

P. Napieralski jest też odpowiedzialnym za moralne i religijne zdziczenie młodzieży, wśród której szerzy się demokratyzm najgorszego gatunku.

Zbijać wywody te uważamy za zupełnie zbyteczne; zbyt jaskrawo uwydatnia się w nich polityczne nieuctwo, gorsząca nieprawdomówność, oraz iście pruska zuchwałość i bezwzględność.

Ks. prob. Kokott przemawiał oczywiście po niemiecku; również niemiecką mowę odczytał z zeszytu kandydat p. Muschallik, choć sam przyznał, że jest dzieckiem polskiego górnika górnośląskiego.

Gdy p. Muschallik zapytał zebranych w polskim języku, czy życzą sobie polskiego przemówienia, odpowiedział potakująco jeden, dosłownie jeden głos. Przyznaje to prusko-centrowa „Gazeta Katolicka“, ziejąca jadem nienawiści ku wszystkiemu co ma styczność z polskim ruchem narodowym.

Mamy nadzieję, że Polski Komitet Wyborczy odpowie na krzyżackie orgie centrowców w stanowczym i jędrnym tonie. Nie znaczy to, by się miał zniżać do poziomu brudnych agitatorów z obozu „Gazety Katolickiej.“



Kościerzyna przeciwko germanizacyi w kościele.

Znana jest skromność i potulność ludu polskiego na Kaszubach. Jeżeli obecnie Kościerzyna przeciwko germanizacyi przez kościół głośny podniosła protest, najlepiej to dowodzi, jak głęboko tamtejsi rodacy odczuwają wielką krzywdę, która im się dzieje przez germanizacyę dzieci, mianowicie przy okazyi nauki do sakramentów świętych.

W sprawie tej odbył się w Kościerzynie wiec, którego głównym mówcą był dzielny wiarus p. Rogala. W mowie swej wykazał p. Rogala, że germanizacya wciska się do kościoła drzwiami i oknami. Uwydatnia się to w ustawicznem pomnażaniu nabożeństw niemieckich i w stałym wzroście tych dzieci polskich, które uczęszczają na niemiecką naukę przygotowawczą do Sakramentów świętych. Na koniec swej przemowy stawił p. Rogala wniosek, ażeby wybrano komisyę, któraby urządzała rokrocznie wiece i dopilnowała rodziców, aby dzieci na niemiecką naukę przygotowawczą nie posyłali. Wniosek ten wiecownicy przyjęli i natychmiast utworzyli komitet, w którego skład wchodzą pp.: dr. Pellowski, dr. Majkowski, Rogala, Pinicki, Kręcki, Kiedrowski, Lniwski, Swieczkowski i Troka.

Uchwalono też dwie rezolucye, z których druga szczególnie jest ważna, a brzmi:

Zebrani na wiecu parafialnym w Kościerzynie parafianie wzywają rodaków, ażeby opierali się wszelkiemi sposobami szerzeniu się niemczyzny w kościele, przedewszystkiem zaś uważali sobie za święty obowiązek, by dzieci swe posyłać na polską naukę przygotowawczą do Sakramentów świętych, bo tylko w ten sposób najskuteczniej zapobiegną wciskaniu się tejże niemczyzny do Kościoła św.

Wydano w Kościerzynie zarazem dobrze zredagowaną odezwę do rodziców polskich.

Cześć Kościerzynie!

Cześć Kaszubom!

Tak dzielnie bronią się bracia na Kaszubach o własnych siłach w chwili, gdy *„Dzien. Pozn.“* obwieszcza światu, że społeczeństwo wilkopolskie w sprawie polskiego wykładu religii na własnych jedynie siłach polegać winno, że nie może się oglądać na Najprzew. ks. Arcybiskupa, który ciężką złożony jest chorobą.

Niech spłeczeństwo wielkopolskie idzie śladem Kościerzyny! Ale z drugiej strony niech władza duchowna nie wymawia się chorobą Najprzew. ks. Arcybiskupa. Toć jest jego zastępca! Szkoda zresztą, że Najprzew. ks. Arcybiskup choruje zwykle, gdy społeczeństwo polskie spodziewa się jego pomocy, zdrowiem zaś odznacza się i energią, gdy zwraca się przeciwko własnemu społeczeństwu. Wielkopolska winna się odezwać w sposób, któryby Najprzew. ks. Arcybiskupowi dodał sił, otuchy i wiary w polsko-katolicką sprawę.

W sprawie stanowiska ks. Arcybiskupa wobec usuwania polskiego wykładu religii w szkołach ludowych dowiaduje się *„Lech,“* że wydany został do duchowieństwa tajny okólnik. — „Lech“ wyraża słusznie zdziwienie, że ks. Arcybiskup wydaje tajny okólnik w chwili, gdy całe społeczeństwo pyta: cóż zrobiono, względnie czego nie zrobiono?

Swoją drogą nie ulega wątpliwości, że tajny okólnik wkrótce stanie się jawnym.



Votum zaufania dla „Straży“.

Przebieg IV. *sejmiku społecznego na Prusy,* który się odbył dnia 17-go b. m. w Pelplinie, przybrał dla otwartych i zakapturzonych wrogów „Straży“ bardzo niepożądany charakter. Spodziewano się, że w Pelplinie spadną ciężkie gromy na „Straż“ i na autora „Czarnej Księgi,“ tymczasem przeciwnie, jednogłośnie potępiono szkodliwą robotę tych, którzy „Straż,“ względnie Główny jej Zarząd podminować usiłują, a „Straży“ udzielono votum zaufania, podnosząc zarazem doniosłość wydawnictwa „Czarnej Księgi.“

Podkreślamy, że w Pelplinie dyskusya toczyła się przeważnie dokoła dwóch punktów, które równocześnie i my w zeszłym numerze w uwagach krytycznych o „Straży“ na pierwszy wysunęliśmy plan. Akcentowano nieodzowny warunek bezpartyjności „Straży,“ oraz domagano się, by krytyka młodej organizacyi zawsze wypływała z szczerej życzliwości dla „Straży,“ a nie „z mętnych przyczyn zawiści i zazdrości.“

Opinia sejmiku społecznego tem bardziej jest znamienna, że tam przeważały elementa — nie „radykalne,“ lecz bardzo umiarkowane, w wielkiej części konserwatywne.

Sejmik zagaił p. *Julian Sas-Jaworski* w obecności przeszło 200 osób. Marszałkiem obrano ks. prob. *Batke'go* z Radomna, sekretarzami p. Adama *Czarlińskiego* z Zakrzewa i dra *Kubacza* z Gdańska.

Obradowano najpierw nad sprawą „Straży“ w Prusiech.

Stosowny referat wygłosił p. dr. *T. Jaworski* z Poznania, koreferat p. dr. *Rzepnikowski,* którzy doszli do wniosku, że należy się godzić zarówno na cele, jak i na środki działania „Straży.“

W dyskusyi p. *Chmielewski* z Sopot wyraził pragnienie, by „Straż“ zatrzymała swą nazwę. Ks. prob. *Bolt* mówił o bezpartyjności „Straży.“ Dr. *Kubacz* rozwodził się o „Czarnej Księdze,“ a zakończył uwagą pod adresem „Dziennika Poznańskiego,“ że od projektowanej „ochrony“ niedaleko już do „ochronki,“ do której należą politycy w guście owego pisma (Słowa te przytacza dosłownie sam „Dzien. Pozn.“ !!) Ks. dr. *Wolszlegier* oświadczył się za śmiałem krytykowaniem zarówno wysoko, jak nisko postawionych, z drugiej strony przestrzegał przed faworyzowaniem jednego pisma politycznego na niekorzyść drugiego. Pan Edw. *Donimirski* wyraził zdanie, że obecna

forma organizacyjna jest, jak na początek, zupełnie dobra, nawet konieczna, co nie wyklucza, że z czasem nastąpi decentralizacya. Ks. prob. *Bolt* wyraził swą sympatyę przewodniej myśli „Czarnej Księgi," która przybijana być winna na publicznych drogach, aby zdrajców stale piętnowała. W dalszym ciągu przemawiali jeszcze pp. J. Górski, Sas-Jaworski, J. Paszotta, dr. Schroeder z Poznania, dr. Kubacz, ks. dr. Nelke, redaktor „Pielgrzyma," Jan Brejski i inni.

Następnie uchwalono jednogłośnie votum zaufania Głównemu Zarządowi „Straży," oraz trzy rezolucye, z których pierwsza wzywa do wstępowania do „Straży," druga zaleca „Straży" bezpartyjność, a ostatnia prosi „Straż," by sprzedawczyków przy każdej sposobności bezwzględnie piętnowała jako zdrajców sprawy ojczystej.

Ostatnia rezolucya nie podoba się *„Orędownikowi."* Odpowiadamy mu tyle, że na to, ażeby uznać piętnowanie sprzedawczyków za słuszne i pożądane, nie potrzeba być członkiem „Straży" i powoływać się na te czy owe paragrafy; na to wystarczy, być Polakiem. Zresztą zwalczanie sprzedawczyków można nawet formalnie śmiało zaliczyć do programu działalności „Straży", sekcya ekonomiczna bowiem ma za jedno z swych zadań (liczba 3) „wpływanie na opinię publiczną" w sprawach ekonomicznych. Zwalczanie sprzedawczyków jest bezpośredniem logicznem następstwem propagowania idei trzymania się ziemi. Po stronie ks. prob. Bolta i jego rezolucyi stoi przeto nawet litera regulaminu.

Po dyskusyi na temat „Straży" nastąpiły wedle programu referaty o przemyśle domowym, o „Kupcu" i bankach parcelacyjnych.

„Dziennik Poznański," przeciwko któremu sejmik pelpliński w pierwszym zwrócił się rzędzie, w szumnym artykule wyraża społeczeństwu zachodnio-pruskiemu podziękowanie. I dziwią się potem panowie z „Dzien. Pozn.", że nazywa ich się „starymi, zgrzybiałymi, zgorzkniałymi, niedołężnymi, złymi, przewrotnymi, słowem głupimi." To fatalne, ale cóż począć?

Niech się zresztą „Dzien. Pozn." nie rzuca tak i denerwuje „nowem pismem konkurencyjnem" i „redaktorami przyszłości," bo tem samem zbyt namacalnie zdradza, że sam czuje już swoją przynależność do — przeszłości. My „Dziennikowi P." życzymy dobrze, to zn. spokojnej starości.



Korespondencya z Galicyi

(Własna korespondencya „Pracy".)

Lwów, 14 maja 1906.

(Sytuacya polityczna. — Stanowisko Koła polskiego. — Ujednostajnianie się opinii w sprawie reformy wyborczej. — Agitacya. — Strejki rolne).

Nasza sytuacya polityczna nie zmieniła się wcale ze zmianą kierownika rządu, t. j. z chwilą objęcia kierownictwa gabinetu wiedeńskiego przez ks. Hohenlohego. Wyjaśniło się dużo zagadkowych stanowisk stronnictw — o czem zresztą na innem miejscu powiem — znane są dzisiaj niemal dokładnie powody, dla których np. Czesi projekt Gaucza tak forsowali, można mniej lub więcej ściśle określać powody całego wniesienia tego projektu, jasnem stało się, co dla nas najważniejsze, stanowisko Koła polskiego w tej sprawie, ale co nam przyniesie najbliższa przyszłość, czy reformę wyborczą uda się w tym roku do skutku doprowadzić, czy zrobi to ks. Hohenlohe, czy jego następca, czy dokonają tej przemiany społeczno-politycznej obecni posłowie, czy też nowi wybrani jeszcze na koniec tej kadencyi parlamentarnej pod hasłem reformy wyborczej, tego nie odgadnie myśl najbystrzejszego polityka.

Możliwem jest i takie rozwiązanie zagadki, jakie wygłosił jeden z młodych polityków polskich o greckiem nazwisku, cieszący się więcej dowcipami i powodzeniem w półświatku, jak uczciwością polityczną w klubie parlamentarnym, że do radykalnego projektu wniesionego przez konserwatywnego br. Gaucza, doda radykalny i czerwony książę Hohenlohe dużo konserwatywnej podlewy. Tego przynajmniej chcą wszystkie żywioły konserwatywne, nie wyłączając i polskich, bo że zagrożony ich stan posiadania nie da się utrzymać nadal, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Są pewne oznaki, że konserwatyści niemieccy i czescy chcieli zwalić reformę, a przynajmniej przeciągnąć w jak najodleglejszy termin urzeczywistnienia się demokratycznego ustroju parlamentarnego, a uczynić to za pomocą Koła polskiego, i zwalić na nie odpowiedzialność za ten reakcyjny krok, ale uczciwi politycy demokratyczni Koła, politycy, co mają na oku interes kraju, interes całego narodu polskiego przed oczyma, a nie zaspokojenie własnych ambicyi, jeżeli nie wprost korzyści materyalnych, potrafili w czas otworzyć oczy decydującym czynnikom Koła na grożące niebezpieczeństwo.

Słuszność przyznać każe, że i w konserwatywnej większości Koła są ludzie o szerokim horyzoncie politycznym i nieużytem zrozumieniu potrzeb narodowych i dla tego jest wszelka nadzieja, że stanowisko Koła polskiego nie będzie sprzeczne z wolą olbrzymiej większości narodowo usposobionego społeczeństwa galicyjskiego.

A stanowisko to nie jest łatwem. Z jednej strony należy wykorzystać w zupełności położenie i osięgnąć najwyższą sumę korzyści dla kraju, gdyż znaczenie Koła po obaleniu Gaucza, po stwierdzeniu oświadczeniami umiarkowanych demokratów i centrum ludowego niczem niezachwianej solidarności Koła, gdyż w urządzonej secessyi została marna grupka 7 posłów, których jednak można „pozyskać" dla solidarności — wzrosło niepomiernie, z drugiej trzeba umieć ocenić wysokość sumy tych korzyści, jaka się da uzyskać obecnie, aby sposobna chwila nie minęła bezpowrotnie.

Nie małego znaczenia jest także umiejętność utrzymania oparcia swej działalności w opinii kraju. Dałoby to solidarnemu Kołu siłę, z którą liczyć by się musiały najwyższe czynniki państwowe. Jednak takiej rozbierności tej opinii nie okazało nasze społeczeństwo galicyjskie może dotąd nigdy. Przeciera się to powoli i zbliża do jakiegoś przecie wspólnego kierunku, różnice polegają nieraz wprost na taktycznych szczegółach, ale do jednolitych dążeń partyi zbliżonych do siebie programowo jeszcze daleko.

Zarzucano Kołu polskiemu jego stanowisko w sprawie głosowania za wnioskiem Wolfa o wyodrębnienie Galicyi, nawet mój poprzednik w korespondencyi z Krakowa umieszczonej w 14 numerze „Pracy" informował Was, że to stanowisko było bardzo nie polskie, zapominając o tem, że w grze politycznej dla każdego kroku taktycznego trzeba umieć znaleść słuszne powody, a przecież ci wszyscy, co w kraju ten krok Koła potępili, z pobudek taktycznych łączą się w sojusze tak dzikie, że nawet tych pobudek usprawiedliwiających wynaleść niepodobna.

Sojusz t. zw. demokracyi postępowej zawarty dla poparcia projektu Gauczowskiego z socyalistami, głoszącymi wprawdzie gęsto na wiecach i zebraniach, że są także narodową partyą a czynami stwierdzającymi codziennie, że wszystko gotowi poświęcić dla osięgnięcia celów partyjnych, jest więcej może dziki a dla nich wprost kompromitujący, bo oddający ich w niepodziel-

ną komendę socyalistyczną, a przecież nikt im *z tego powodu* zarzutu postępku nieetycznego, niepolskiego postępku, nie zrobił.

Popełnia się takie niekonsekwencye, jak np. t. zw. stronnictwo ludowe, które żąda równego prawa wyborczego, określonego w ten sposób, że w jednym okręgu wyborczym mają mieć wszyscy wyborcy równy głos, a mimo to pod naciskiem przeważającej opinii przyjmuje okręgi miejskie znacznie mniejsze ilościowo i okręgi wiejskie nieraz 3 i cztery razy większe, zatem stwarzające tę samą nierówność, jaka istniała w dotychczasowym systemie kuryalnym.

Jednak na ogół zarysowuje się już dzisiaj jeden kierunek oparty na zasadach demokratycznych, ale broniący interesu narodowego, który to kierunek połączy prędzej lub później w jedną całość wszystkie żywioły narodowe; konserwatyści tworzyć będą grupę osobną ale bez dotychczasowych przemożnych wpływów. Drugi kierunek to zjednoczenie wszystkich żywiołów demagogicznych i radykalnych, dla których opozycya jest programem. — Komendę nad niemi obejmą niepodzielnie socyaliści.

Ruch agitacyjny, dotychczas tak silny, osłabł znacznie. Wiece prawie się nie odbywają — zgromadzenia socyalistyczne obsyłane słabo, przeważnie przez gawiedź uliczną i niedorostków żydowskich. Na ogół dotychczasowa siła socyalistyczna okazała się marną, sztuczną robotą. Rusini natomiast wyczerpawszy się wiecami przerzucili się do strajków rolnych.

Strajki mają częściowo podkład ekonomiczny, bo rzeczywiście płaca robotników rolnych w niektórych powiatach jest śmiesznie małą. Mężczyzni zarabiają dziennie 40 do 50 halerzy (to znaczy 45 fenigów), kobiety najwyżej 40 hal., jednak słuszność każe przyznać znowu, że robota trwa od godz. 8-mej a nawet 9-tej rano do 7-mej wieczorem z godziną co najmniej przerwą w południe i nie jest wcale wydatną, bo chłop ruski z natury leniwy. Ceny te utrzymują przeważnie dzierżawcy żydzi. Jednak są powiaty, gdzie praca tz. zw. „na snop" (żniwiarz bierze na własność ziarno z każdego np. 11, 10 a nawet 9 snopa przez siebie zerzniętego) jest sowitem wynagrodzeniem i chętnie przez ludność wieśniaczą przyjmowanem. Te strajki o ile przyczyniłyby się do uregulowania tych anormalnych stosunków miałyby swe uzasadnienie.

Jednak drugim podkładem tej agitacyi jest polityka; jest to nacisk na sfery konserwatywne, aby nie stawiały przeszkód w przeprowadzeniu reformy wyborczej. W tej formie, a ta właściwie jest dzisiaj jedyną, przynoszą one niepowetowaną szkodę przedewszystkiem ludności wiejskiej ruskiej, która je robi jedynie pod przymusem agitatorów. Tracą zarobek, stoją zbyt często wobec konieczności zatargu z ochroną, jaką dają pracy władze t. j. starostwa, kończącego się niejednokrotnie utratą życia najmniej winnych, a przeważnie sądem, który za opór władzy musi nakładać ciężkie kary. Strajki rolne przed dwoma laty dały do 300 rozpraw sądowych, w których zasądzono do 500 ludzi, tak że obliczone nałożone kary dawały całe lata więzienia ludziom prowadzonym nienawistną agitacyą do zupełnie niezrozumiałego dla siebie celu, a agitatorzy rekrutujący się w znacznej liczbie z księży uchodzą bezkarnie.

Tegoroczne strajki objęły powiaty Podhajecki nad Zbruczem, Czortkowski w sąsiedztwie, Zaleszczycki to znowu sokolski na północ od Lwowa. Ludność strajkująca dopuszcza się ekscesów i gwałtów na swe nieszczęście, posypią się zatem znowu kary więzienne.

Bliższe szczegóły doniosę na przyszły tydzień. *Bes.*

Tydzień polityczny.

Konflikt Dumy z rządem zdaje się być nieunikniony, choć trudno w chwili obecnej przewidzieć, jaką przybierze formę i jak daleko doprowadzi. — To pewne, że rząd rosyjski nie może się pogodzić z nowym trybem życia publicznego, że jego sposób myślenia i oceniania faktów politycznych ma jeszcze wciąż charakter wyraźnie biurokratyczno-absolutystyczny.

Podczas, gdy Witte w mowie wygłoszonej w radzie państwa wyraził życzenie, aby rada przyjęła program Dumy, prezes gabinetu, książę Goremykin, miał oświadczyć, iż adres Dumy do cesarza jest bezczelnością.

Zaznaczyć warto, że adres Dumy jest przedeweszystkiem pod względem żądań socyalnych radykalny. Żądania polityczne idą wprawdzie dość daleko, nie przekraczają jednakowoż granic nakreślonych ustrojem konstytucyjnym państwa, podczas gdy socyalne postulaty mają już zabarwienie socyalistyczne.

Najłagodniejszy jest ustęp o narodowościach wchodzących w skład państwa. Nie zawiera on nic konkretnego; sformułowanie jest nader ogólnikowe. co nie stoi temu na przeszkodzie, że zgrzytają z powodu niego szczęki pruskich polityków.

Za postulatem *autonomii Królestwa* nie przemawiał w komisyi żaden Rosyanin. Konstytucyjni demokraci zawiedli Polaków zupełnie. Na zjazdach umieli piękne rzucać hasła i posuwać się w kierunku autonomii Królestwa bardzo daleko. Gdy atoli przyszło do realizacyi przyrzeczeń, poczęli panowie konstytucyjni demokraci inaczej śpiewać.

Następstwem takiego zachowania się kadetów będzie zbliżenie się Polaków do nowej formacyi politycznej w Dumie, do t. zw. grupy autonomistów, która dziś już liczy przeszło 100 zwolenników. Każdy dzień przynosi z Petersburga nowe ciekawe wiadomości. Trzeba być przygotowanym „raczej na złe, aniżeli na dobre" — pisze „Temps". Tem bardziej trudne jest położenie posłów polskich, których uwaga i ostrożność w dwóch kierunkach zwrócona: na rząd i na reprezentantów narodu rosyjskiego.

W ostatniej chwili donoszą, że Duma postanowiła adres swój przesłać carowi, ponieważ dotąd jeszcze nie wyznaczył terminu na przyjęcie prezydenta Murowcewa. W kołach członków Dumy oczekuje się z wielkiem naprężeniem odpowiedzi cara, który podobno nie chce zezwolić na to, by mu „Duma przepisy robiła".

Sejm pruski w drugiem i trzeciem czytaniu zajmował się nowelą knapszaftową. Centrum, Polacy i wolnomyślni oświadczyli się stanowczo za obowiązkowem tajnem głosowaniem na starszych knapszaftowych; konserwatyści, wolnokonserwatyści i nacyonalni liberałowie, zwalczali żądania powyższe, przeważnie ze względu na „wielkopolską agitacyę".

Przy drugiem czytaniu odpowiedział na ten argument wolnomyślny poseł Goldschmidt, że przez tajne głosowanie nie da się wpłynąć na rozwój wielkopolskiej agitacyi na Górnym Śląsku, że agitacya ta faktycznie takich małostek nie potrzebuje.

Z Polaków przemawiał przy drugiem czytaniu poseł dr. Antoni Chłapowski, przy trzeciem poseł Korfanty, który zwalczał także żądanie, by starsi knapszaftowi musieli władać językiem niemieckim.

Ostateczne głosowanie rozstrzygło niestety spór na korzyść hakatystów.

We *Francyi* wynik ściślejszych wyborów oznacza zwycięstwo obecnego rządu. Wybrano 1 nacyonalistę, 14 republikanów lewicy, 20 radykałów, 41 socyalistycznych radykałów, 18 zjednoczonych i 6 niezawisłych socyalistów.

Przegląd prasy.

Czytelnicy przypomną sobie, że 8 obywateli, a mianowicie pp. H. Chłapowski, K. Grabski, dr. T. Jackowski, K. Krysztoporski, St. hr. Kwilecki, K. Lipski, dr. T. Szułdrzyński i A. hr. Żółtowski, wystąpili przeciwko „Straży“ z powodu „Czarnej Księgi“. Władza duchowna w ostatnim swym okólniku powołała się na deklaracyę powyższych 8 obywateli. A ponieważ zaznaczyła także, że ze strony świeckiej radzono jej wystąpic przeciwko „niechrześciańskiej“ działalnści „Straży“, przeto opinia publiczna posądziła 8 autorów niefortunnej deklaracyi o zakulisowe machinacye przeciwko „Straży“ na tumskiej wyspie podjęte. Obecnie owi obywatele stanowczo wypierają się takiego współdziałania z Najprzew. ks. Arcybiskupem, a raczej z Najprzew. ks. Biskupem, składając w „Orędowniku“ nowe oświadczenie. Do pisma tego dołącza „*Orędownik*“ następujące uwagi:

„Powyższe oświadczenie usuwa wszelką podstawę rozsiewanym pogłoskom, żeby owi obywatele chcieli szkodzić „Straży“ przez wpływanie na Władzę duchowną, nie dowodzi jednak, żeby nie miały istnieć albo powstawać jakieś antagonizmy między pewnemi kołami szlachty konserwatywnej i szlachtą eksugodową, siedzącą w Gł. Zarządzie Straży.

Owym kołom szlachty konserwatywnej, do których zalicza się także owych ośmiu obywateli ziemskich, powinno bardzo wiele zależeć na tem, aby ich nie przedstawiano jako zasadniczych przeciwników Straży. Już dla tego, że niektórzy z nich stoją na wybitnych stanowiskach naszych poważnych instytucyi zbiorowych“.

Nam wydaje się, że opinia publiczna nie posądzaj wspomnianych kół szlachty konserwatywnej o zasadniczo wrogie wobec „Straży“ stanowisko. Nie o zasady tu chodzi, lecz o antagonizmy, o których „Orędownik“ lekko wspomina. My dodamy, że są to nieszczęsne antagonizmy rodowe, które u wielkiej części naszej szlachty ziemiańskiej górują ponad dobrem sprawy publicznej. Zaznaczamy to z przykrością i bólem. Dzieje się wciąż jeszcze, jak za czasów rzeczypospolitej, gdzie motorem sprawy publicznej była grzeszna ambicya rodowa. Owa ósemka szlachty konserwatywnej oburzy się oczywiście z powodu naszego zarzutu. Z góry odpowiadamy, że opinia publiczna słuszniej oburzyła się z powodu deklaracyi 8 obywateli, opublikowanej w chwili, gdy należało bronić „Straży“ przed otwartymi i zakapturzonymi jej wrogami, a nie folgować uczuciom osobistej niechęci do tych czy owych członków Głównego Zarządu.

* *

O germanizacyi przez Kościół na Kaszubach pisze „*Gazeta Gdańska*“ między innemi:

„Ustanowienie dla takiej na wskroś polskiej parafii, jaką jest kościerzyńska, proboszcza Niemca i wikarego Niemca, jest takim policzkiem nietylko dla tej jednej parafii, ale dla całych polskich Kaszub, że kielich cierpliwości u ludu kaszubskiego zaczyna się na dobre przelewać.

„Dobroduszność i brak oświaty u ludu można wyzyskiwać do pewnych granic. Wyzyskali go dotychczasowi naczelni i regencyjni prezesowie wespół z uległą w tych sprawach Władzą duchowną w Pelplinie należycie. W nawskroś polskich Kartuzach mamy proboszczem i wikarym Niemców, mamy w Oliwie proboszcza Niemca. To trochę za wiele. W tem tkwi polityka. Rząd myśli, że wziął już nasze polskie Kaszuby we wieczystą arendę. Myśli system pruski, że hakatyści mogą na nich bobrować, niby myszy na polu. Niech oni tam na urzędach świeckich robią, co chcą. My im tam przeszkadzać nie możemy, bośmy za słabi, ale wara im do naszych polskich kościołów. Tam tkwi nasz pieniądz, tam tkwi nasza polska dusza od dziadów i pradziadów, tam tkwią nasze polskie troski i kłopoty, tam jest nasz stary Pan Bóg, który nas dotychczas w naszych cierpieniach i bólach pokrzepiał i pocieszał.“

„Dawniej ks. proboszcz patrzał jeno dobra dusz swych parafian i dla tego nie było wzajemnej nieufności. Kochali księdza wszyscy i niczego więcej się nie domagali, jeno sprawiedliwości.

„Dziś jest inaczej! Dziś pan prezes rejencyi, p. landrat, p. „kreisschulinspektor“ mają na nieszczęście do gadania, czy nowy proboszcz nie jest czasem „za wiekim przyjacielem Polaków“, czy nie byłoby lepiej, ażeby w parafii był Niemiec itd. Nie o to w pierwszym rzędzie dzie, czy nowy duszpasterz jest po myśli Bożej, jeno czy jest po myśli pana landrata lub prezesa rejencyi. I ztąd to pochodzi, że mamy teraz częściowo proboszczów, co to oglądają się nietylko na łaski u Pana Boga, ale co się równocześnie także oglądają na łaski u możnych tego świata“.

Podobne zupełnie stosunki panują na wychodźtwie. I tam księża niemieccy coraz radykalniejszą uprawiają germanizacyę, a szykanują Polaków, broniących swych praw zasadniczych.

O osławionym ks. Jederze donosi „*Dziennik Berliński*:“

„Na posiedzeniu dozoru kościoła N. M. Panny, które się odbyło onegdaj wieczorem, zainterpelowali polscy członkowie dozoru pp. St. Konatkowsi i J. Mielcarek ks. prob. Jedera, dla czego na kartkach, zapraszających ich na posiedzenie, „zapomniał“ napisać słowo „Herr“.

„Ks. Jeder odpowiedział butnie: „das ist meine Sache“. A gdy mu oświadczyli, że w razie powtórzenia się tej niegrzeczności, listu jego nie przyjmą, odpowiedział: „nie to nie“.

„Zainterpelowany przez nich następnie, czy to on spowodował prezesa policyi do wytoczenia im sprawy o złożenie z urzędu członków dozoru za udział w wiecu polskim, na którym postanowiono omijać kościół Panny Maryi i płacić za śluby, chrzty i pogrzeby najniższą taksę, ks. Jeder odmówił odpowiedzi.

„Tak pozwala sobie występować ów „sługa Chrystusowy“ wobec reprezentantów 4 000 Polaków-katolików parafii N. M. Panny, z wdzięczności za to, że mu wdowim groszem swoim pomogli wystawić kościół, w którym mimo to słowa Bożego w swoim języku ojczystym nie słyszą.“

„Straż.“

Zadania Straży.

Z Biura „Straży“ otrzymujemy następujący komunikat:

Szanownej Redakcyi przesyłamy wyciąg z regulaminu „Straży,“ przyjętego na walnem zebraniu starostów „Straży,“ dnia 29-go kwietnia b. r., a dotyczącego zadań sekcyi „Straży.“

Zadania Sekcyi.

Sekcya prawno-polityczna.

§ 8. Zadaniem sekcyi prawno-politycznej jest obrona spraw:

1) Towarzystw i zebrań publicznych,

2) szkólnych i wychowawczych,

3) imion i nazwisk,

4) osadnictwa,

5) tyczących wszelkich innych kwestyi prawnych, mających podług jej sądu publiczne narodowe znaczenie.

Sekcya kulturalna.

§ 9. Zadaniem sekcyi kulturalnej jest zachowanie i szerzenie narodowej kultury na polach działalnością *innych towarzystw nie objętych* przez:

1) badanie stanu narodowej swiadomości i oświaty,

2) narodowe wychowanie młodzieży — a mianowicie popieranie nauki polskiego, dopomaganie do zakładania biblioteczek dla dzieci, urządzanie wycieczek w okolice rdzennie polskie itd.

3) rozbudzanie narodowej świadomości i oświaty, a mianowicie rozpo-

wszechnianie pism i książek polskich, udzielanie informacyi w sprawach teatrów amatorskich i wieczornic, wydawnictwo wykładów oraz wogóle stosowanie wszelkich odpowiednich środków.

Sekcya ekonomiczna.

§ 10.

Zadaniem Sekcyi ekonomicznej jest:

1) zbieranie materyałów statystycznych, tyczących: rólnictwa, kupiectwa, przemysłu, rzemiósł i stosunków robotniczych,

2) informowanie społeczeństwa o ekonomicznych warunkach i potrzebach rólnictwa, kupiectwa, przemysłu i rzemiosł celem podniesienia siły produkcyjnej i zarobkowej społeczeństwa,

3) wpływanie na opinią publiczną w sprawach powyższych, mianowicie ze względu na hasło: swój do swego,

4) udzielanie wskazówek i ułatwianie kredytu jednostkom, gdzie tego wymaga interes ogółu.

Regulamin w całej jego objętości już jest w druku i zostanie niebawem wszystkim członkom i interesowanym rozesłany.

* * *

Na ostatniem posiedzeniu Głównego Zarządu przyjęto 2,415 nowych członków tak, że obecnie liczy „Straż" — **18,975** członków.

Biuro „Straży."
Dr. Tadeusz Jaworski.

* * *

Dnia 27-go maja o 4-tej godz. po poł. odbędzie się wiec „Straży" w Zbiernie Zach. Pr. na sali p. St. Witomskiego.

* * *

Dnia 10-go czerwca b. r. odbędzie się wiec „Straży" w Polskim Brzoziu Zach. Pr. o godz. 4-tej po południu na sali pana Aloizego Forlińskiego.

* * *

W Nieżywięciu (Prusy Zachodnie) odbył się wiec „Straży" pod przewodnictwm p. Antoniego Czarnowskiego z Kawek. O zadaniach „Straży" mówił starosta brodnicki, p. Bardzki, o naszem groźnem położeniu p. M. Lipiński z Brodnicy. Z 80 zebranych 74 zapisało się zaraz na członków „Straży".

* * *

We *Wrockach* odbył się wiec „Straży" pod przewodnictwem p. Mossakowskiego z Cieszyna. Pogląd na „Straż", jej cele i środki działania dał starosta brodnicki p. Bardzki, poczem p. K. Wojciechowski mówił o potrzebie łączenia się. Z pośród 80 wiecowników zapisało się przeszło 60 na członków „Straży".

Ruch w Towarzystwach.

* **Poznań.** Zeszłoniedzielna zabawa Towarzystwa Młodzieży kupieckiej w ogrodzie San Domingo udała się znakomicie pod każdym względem. Główną atrakcyę zabawy stanowiła gra fantowa, z której dochód przeznaczony będzie na urządzenie schroniska dla Młodzieży kupieckiej. Rozpoczęte o zmroku tańce przeciągły się przy dźwiękach dziarskiej orkiestry Towarzystwa muzycznego do godziny 11-tej.

* **Poznań.** Prezesem Towarzystwa Przemysłowego wybranym został na walnem zebraniu p. prof. dr. Drygas, nowym członkiem dyrekcyi p. Templowicz, właściciel „Księgarni Polskiej".

* **Poznań.** Towarzystwo „Pielgrzym" pod wezw. Bogarodzicy urządza pierwszą pielgrzymkę w bieżącem lecie do Częstochowy w lipcu. Pielgrzymka wyjedzie z Poznania 11 a powróci 18 lipca.

Wiadomości.

* **Wybory do największej tutejszej kasy chorych nr. 4 odbyły się w środę, dnia 16-go b. m. Aby utrudnić** Polakom **zwycięstwo, podzielono miasto na 8 okręgów. Nic jednak sztuczki** te Niemcom **nie pomogły**, bo zwyciężyli Polacy **dzięki** gorliwości osobnego komitetu złożonego z 9 osób, a głównie **dzięki** pracy *czterech starostów „Straży" pp. Rzepeckiego, Chmielewskiego, Dobrowolskiego i Stolpego.* Teraz mają Polacy 14 reprezentantów z łona pracodawców (Niemcy 2), a 28 z łona pracobiorców (Niemcy 4). Dotąd mieli Niemcy większość reprezentantów z łona pracodawców. Jak wiadomo, wybierają reprezentanci zarząd kasy i decydują o najważniejszych sprawach, dotyczących kasy.

* **W Starołęce pod Poznaniem** nabył *Dom Bankowy Drwęski i Langner* następujące gospodarstwa, które z folwarkiem Wielka Starołęka p. *Marcina Biedermanna* bezpośrednio graniczą: od gospodarza p. Schicka 10 mórg, od p. Tomczaka 40 mórg a od gospodarza p. Korcza okazałe odbudowane gospodarstwo w objętości 110 mórg. Wszystkie te części nowonabyte dołączone będą do Wielkiej Starołęki, która teraz wraz z Minikowem i Minikówkiem obejmuje około 1200 mórg, czyli tyle ile było przed dwudziestu laty.

Gospodarstwo p. Korcza uratowano od subhasty, która już była ogłoszoną.

* **Wieś rycerską** *Droszków pod Kępnem* około 2500 mórg najpiękniejszej ziemi, włącznie 200 mórg znakomitych łąk i 100 mórg starszego lasu, z wielką parową gorzelnią, rzadko pięknemi budynkami i silnym inwentarzem, z siedzibą wielkopańską, — *przez Dom Bankowy Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) z Poznania* od Niemca p. Nitsche'go codopiero nabytą, — już sprzedano dalej i to w całości p. *Stanisławowi Zakrzewskiemu z Poznania* za około 600.000 mrk.

P. Zakrzewski był przedtem właścicielem wsi rycerskiej Baranowa pod Mosiną, którą sprzedał p. *hr. Raczyńskiemu* z Rogalina.

Nowonabywcy „Szczęść Boże!"

Do przeprowadzenia całej transakcyi przyczynił się wielce p. hr. Mańkowski z Słupi. Gdy bowiem przy nabyciu tego majątku od p. Nitsche'go okazała się potrzeba znaczniejszych kapitałów, przyczem pospiech był konieczny, — a banki nasze pożyczkowe pod tym względem się ociągały, — natenczas p. hr. Mańkowski, jako bezpośredni sąsiad Droszkowa, z pobudek szczerze patryotycznych, iście po obywatelsku poparł sprawę z całą energią i to nietylko dobrą radą, *ale i czynem!*

Cześć Mu za to!

* **Frymarka ziemią.** „Postępowi" donoszą, że dwóch gospodarzy polskich w okolicy Poznania zamierza sprzedać swe gospodarstwa w ręce niemieckie, a mianowicie p. Sowiński w Suchymlesie i p. Michal Goderski w Starołęce. Ostatni jest synem gospodarza, który głosował za przechrzceniem Starołęki na „Louisenhaim" i zadecydował zatarcie tej polskiej nazwy. Gospodarstwo p. Sowińskiego obejmuje 120 mórg, gospodarstwo p. Goderskiego 60 mórg.

Zagrożoną ziemię ratujmy póki czas!

* **Bojkot** *polskich ogrodów.* Dzięki hakatystom nie wolno t. zw „majówek" szkolnych urządzać w mieście naszem w polskich ogrodach. Jednocześnie zakazano wojsku z całej załogi

poznańskiej (podoficerom i szeregowcom) przebywać w Urbanowie, którego dzierżawcą jest p. Kuczyński, i to dlatego, że tamże odbył się wiec „Straży“.

* **Recklinghausen**, dnia 19-go maja 1906.

Ogłaszam niniejszem, iż zaginęły mi listy i kwity na odebrane składki od następujących członków „Straży“: 1. Walentego Basty, 2. Stanisława Ptasika, 3. Tomasza Ptasika, 4. Kowalskiego, 5. Augusta Kichlera, 6. Jana Wieczorka. Członkowie, którzy zapłacili składki, a są pominięci, niech się do mnie zgłoszą.

Jan Wieczorek,
Reklinghausen, Lensbergstr. No. 26

* **O obchodzie luterskim w Bydgoszczy**, w którym mają brać także udział dzieci polskie i katolickie, otrzymał „Dziennik Poznański“ obszerniejszą korespondencyę, z której powtarzamy następujące, najważniejsze szczegóły:

Według programu pierwsze widowisko z udziałem około 100 aktorów odbędzie się 23-go b. m. właśnie dla dziewcząt szkólnych, a 25-go b. m. dla chłopców ze szkół bydgoskich, a dla wszystkich bez różnicy w dniach 24-go i 26-go do 30-go maja. Potem zapewne ten teatr luterski jeździć będzie po wszystkich miastach i okolicach Wielkopolski i Prus Zachodnich.

Jak wiadomo teatr bydgoski, w którym przedstawienia odbywać się będą, stoi na gruncie zburzonej wieży klasztornej i spalonego klasztoru panien karmelitanek. Do dwóch wydziałów, stojących na czele przedsiębiorstwa protestantyzującego, należą wielcy luterscy działacze na ziemi bydgoskiej i w dyecezyi gnieźnieńskiej, jak n. p. urzędnicy, radzcy rejencyi bydgoskiej, prokuratorzy, szambelanowie, jenerałowie i inni.

Afisze głoszą także, że 39 pociągów codzień od 23-go do 30-go b. m. przybywać będzie do Bydgoszczy. Spodziewają się wędrówki ludów luterskich do naszej ziemi polskiej bydgoskiej, od 900 lat, od czasów Apostoła św. Wojciecha katolickiej, dzisiaj zamieszkałej przez 60 000 twardych Polaków-katolików w starych dawnych domach polskich.

Liczą urządzający na wielkie zyski i postawią, jak obiecują za nie Bismarckowi pomnik.

* **O ślubie polskiej pary**, który się odbył w Więckowicach po francusku z powodu, że ksiądz, dający ślub, nie umie dostatecznie po polsku, rozwodzi się szeroko „Goniec Wielkopolski“ z ubolewaniem, że do polskich kaplic domowych już się zakrada obczyzna. Musimy przyznać słuszność jego wywodom w czasie, kiedy naród walczy tak ciężko o język swój w kościele, szkole i domu. Zły to przykład mianowicie dla ludu i woda na młyn hakatystyczny.

* **Nowe pismo dla Mazurów** pocznie wychodzić w Szczytnie (Ortelsburg) pod tytułem „Mazur“ i to dwa razy tygodniowo z ilustracyami. Wydawcą i redaktorem będzie księgarz pan Falkenburg. Pierwszy numer ma się ukazać w dniu 1 lipca r. b.

* **Dwa lata** toczył się proces „Sokola“ w Zabrzu i przeszedł sześć instancyi a zakończył się uwolnieniem oskarżonych. Powodem procesu było odbyte w kwietniu 1904 roku zebranie „Sokola“ w Zabrzu, które policya bezprawnie rozwiązała.

* **Ostrów.** Tutejsza policya przegrała! Prezes Towarzystwa Śpiewu w Ostrowie, ks. A. Lisiecki otrzymał policyjny mandat karny o urządzenie zabawy publicznej bez pozwolenia. — Ks. A. Lisiecki odwołał się do sądu, gdzie go uwolniono od winy i kary. — Od trzech dni strejkują murarze. Pracodawcy podwyższyli im płacę z 30 na 33 fen. na godzinę, stąd też pewna część powróciła do pracy, inni obstają przy 35 fen. na godzinę i używają dalej wywczasu.

* **Sprostowanie.** W numerze 8-mym „Pracy“ z dnia 25-go lutego b. r. zamieściliśmy w dziale „Wiadomości“ korespondencyą z Pr. Starogardu, tyczącą się „Bockbierfestu“ w pewnej polsko-katolickiej restauracyi, w której autor popisał rzeczy uwłaczające godności, dobrej czci i sławie gospodarza.

Zarzuty w korespondencyi owej zawarte jako nieprawdziwe cofamy, niechcąc nikogo krzywdzić na sławie i mieniu.

* **Skład** *porcelany, szkła i lamp,* do którego można jeszcze dołączyć szklarstwo i oprawę obrazów, jest na sprzedaż z powodu stosunków familijnych. Bliższych informacyi udzieli ekspedycya „Pracy.“

* **„Dziennik Poznański“** pisze w numerze 117-tym co następuje:

„Expost dowiadujemy się, że poznańska „Praca“ ogłoszoną być miała niejako za półurzędowy organ „Straży“.“

W wiadomości powyższej nie ma ani cienia prawdy; przypisać ją zatem musimy zwykłym objawom halucynacyjnym naczelnego redaktora „Dziennika Poznańskiego“.

* **„Gazeta Toruńska“** oburzyła się do żywego z powodu wiersza satyrycznego „Straż a Stróże“, umieszczonego w rubryce drobnych wiadomości zeszłego numeru. Satyra ujęta jest we formę bajki, przenosząc myśl czytelnika w świat zwierzęcy. „Gazeta Toruńska“ zgorszyła się ustępem o „brytanie od plebana“, w którym domyśla się „zwierzchnika dyecezyi“. Wolno się „Gazecie Toruńskiej“ puszczać na domysły i wolno jej się też gorszyć; jeżeli jednakowoż twierdzi, że „Praca“ *„nazwała“* zwierzchnika dyecezyi epitetami, które autor satyry przypisał „brytanowi od plebana“, natenczas sympatyczna „koleżanka“ toruńska mija się z prawdą. W bajkach alegorycznych operuje się zawsze jaskrawemi przenośniami, których nikt w przybliżeniu nawet dosłownie nie bierze. Przypominamy tu felieton o zwierzęcym rodzie, mianowicie o „słoniu“, który to felieton zamieścił „Kuryer,“ organ tumskiej wyspy w ostatnim numerze. „Koleżance“ toruńskiej radzimy: jeżeli chce uprawiać zawód denuncyantki, niech się lepiej uda do naszych najserdeczniejszych; na tumskiej wyspie dziś służba nie popłaca.

* **Rudę żelaza,** *stali i na utwory sztuczne* znaleziono w ziemi naszej wielkopolskiej pod Odolanowem na gruncie należącym między innymi także do p. *Romana Krysińskiego z Ostrowa.* Okazy wykopanej rudy przyniósł nam do redakcyi p. *Jan Szymański z Poznania.* Powinno się niebawem utworzyć konsorcyum polskie celem eksploatacyi i t. d. tych pokładów rudy pod Odolanowem.

Kąsanka.

„Toruńska“ Straży „tłumacz się!“ woła;
Dlaczego? — łatwo to wyśledzić:
Bo jeden głupi więcej pytać zdoła
Niżli dziesięciu mądrych odpowiedzieć.

Zdrożnem jest wielce czynienie krzyku:
Znowu jest nowe głupstwo w „Dzienniku;“
Mnieby to wiele więcej dziwiło
Gdyby w „Dzienniku“ głupstwa — nie było!

Niema proroków w obecnej chwili,
Tak cały naród w okół biada,
A przecież „ktoś“ co dzień powiada:
„Myśmy to dawno już mówili!“

„Dziennik“ to pismo humorystyczne,
Przed którem każde pobladnie:
Nie tylko płodzi dowcipy liczne,
Ale je płodzi — bezwiednie.

Ząbek.

OD REDAKCYI.

Panu staroście B. B. Wskutek nawału materyału nie możemy życzeniom Pańskim zadosyć uczynić. Gdybyśmy umieszczali tak obszerne sprawozdania z wszystkich wieców „Straży,“ zapełniłyby nam sprawozdania cały numer. Za pamięć dziękujemy.

Sokołowi w Nakle. — Otrzymaliśmy zapóźno notatkę, zatem nie mogliśmy zamieścić w nr. 20-tym.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

11) (Ciąg dalszy.)

— Gdy nadziewa się na kolec, — mruknął pod nosem nadąsany Jan.

— To dowodzi jak subtelną i świeżą duszę ma pani. Pani lubi robić dobrze, prawda?

— Wam... nie.

— Niby komu... wam?

— Zjadaczom serc.

— Ah, ci godni są nadziania na rożen.

— Wydaje pan wyrok na siebie.

— Ja godny jestem pogłaskania.

Ujął jej pulchną rączkę i powiódł nią po swym policzku.

— Pieszczoszek. Niech mi się rozpłacze.

— Pani nie może patrzeć gdy kto płacze?

— Nie mogę.

— I gdyby było w mocy pani otarcie łez z oczu nieszczęśliwego, młodego poety?...

— Młody i nieszczęśliwy!... Jedno i drugie względne pojęcie... Ja na przykład nie mam pana ani za tak młodego...

— Nie o mnie tu idzie!

— Szkoda.

— Zależy pani, żeby mnie zrobić przyjemność?

— Jeżeli to i mnie da pewną sumę przyjemności...

Wybuchnęła śmiechem.

Nagle porwał się Jan; był zdenerwowany, blady, drżący.

— Państwo prowadzą bardzo dowcipną i pełną wdzięku rozmowę, ale my nie po to przyszliśmy do pani, — rzekł zdławionym głosem. — Idzie o to, że podobno pani....

Poręcki hipnotyzował go wzrokiem, ale Jan nie panował już nad sobą.

— Nie mamy czasu, nie mamy czasu na towarzyskie żonglerowanie. Brata wzięto mi do Cytadeli, podobno pani ma wpływy...

Śpiewaczka zbladła nagle, zerwała się z fotela, odtrącając go z taką siłą, że aż stojąca za nim serwantka zabrzęczała dźwiękiem znajdującego się w niej szkła i porcelany.

— Więc tylko po to!... — rzekła przez zaciśnięte zęby.

Poręcki porwał ją za ręce.

— Ależ czarodziejko!...

Odepchnęła go gniewnie.

— Nie wierzę już panu. Gdy przychodzicie do mnie, aby wyzyskać moje wpływy, to bądźcie szczerzy, przystępujcie odrazu do rzeczy! a nie traktujecie mnie jak pierwszą lepszą damę z półświatka, która z praczki, czy pokojówki wyszedłszy ,gra rolę w świecie. Ja jestem z dobrej rodziny, odebrałam wykształcenie, mam talent, lubię się uczyć, pracować, a że...

Głos się złamał, rzuciła przez zęby: żegnam! i wyszła do drugiego pokoju.

Obaj mężczyźni zostali jak rażeni gromem.

Widzieli ją jak płynęła po błękitnym dywanie sypialni, opięta w szare sukno kostiumu, jak zimny, surowy posąg z granitu. Zbliżywszy się do stojącej w głębi lustrzanej szafy, zaczęła machinalnie, z przyzwyczajenia, poprawiać włosy. Jan wyczerpany zabiegami całego dnia i ostatniem natężeniem, opuścił się na krzesło, łokcie wsparł na kolanach, twarz ukrył w dłonie i nagle zapłakał. W lustrze odbiła się jego postać, dziwnie skurczona i złamana. Diwa patrzała przez chwilę na nią, nie odwracając się od zwierciadła. Nagle ręką przetarła czoło, szybkim krokiem, ze spuszczoną głową, wróciła do salonu i dotykając ręką ramienia Jana, rzekła miękkim, niskim głosem:

— O co panu idzie?

Podniósł na nią oczy i spuścił zaraz, wstydząc się łez.

— Brata wzięto do cytadeli, — szepnął Zygmunt.

— Tak... Widzi pan, moje wpływy nie sięgają zbyt daleko... uwolnienie zawsze zależnem jest od doniosłości przestępstwa... tak zwanego przestępstwa.

— My też tak daleko nie sięgamy pragnieniami. Idzie nam o możność odwiedzenia go, dowiedzenia się...

— Ah tak... Proszę o adres pana.

Poręcki szybko bilet podał.

— Postaram się, żeby panowie dziś jeszcze otrzymali to, czego żądają, — rzekła, odbierając bilet.

Jan ujął jej rękę i do ust podniósł.

— Dziękuję! — zawołał z uniesieniem.

— Nie ma za co, — szepnęła i szybko cofnęła się do sypialni.

— Na schodach spotkali Nauchensteina.

— Biegnę, bom ogromnie ciekawy jaki rezultat waszej bytności.

— Przyrzekła dołożyć wszelkich starań i wyraziła nadzieję, że dziś jeszcze otrzymamy to, czego pragniemy.

— Doprawdy... no, no... Udało się panu!... I jakżeś się pan zabrał do tego? Coś robił?

— Płakałem!...

XII.

Nazajutrz w cytadeli cała rodzina stawiła się w komplecie. Musiano czekać dosyć długo, zanim Jan opowiedział się różnym „naczalstwom" i wrócił wreszcie w towarzystwie żandarma, który miał ich zaprowadzić do poczekalni.

Obszerny pokój o czterech dużych oknach, bielone ściany, kilka krzeseł, długa ława — całe umeblowanie poczekalni.

Pani Iza od rana nie przemówiła słowa, miała wypieki na twarzy, trzymała się kurczowo ramienia Eugeniusza, zgorączkowana, a drżąca. Wanda i Witold podekscytowani, miejsca znaleść sobie nie mogli, zaglądając wszędzie, wszystko obserwując.

Drzwi się otworzyły; wszedł Tadeusz w towarzystwie dwóch żandarmów. Z rozdzierającym krzykiem rzuciła się ku niemu matka, lecz powstrzymał ją jeden z żandarmów.

— Możno razgawarywat', no nie zapraszczta się.*)

Nastała chwila milczenia, wywołana gwałtem zadanym sobie wzajemnie dla powstrzymania się od powitań. Przytem jaki charakter mogła mieć rozmowa w obecności żandarmów?!

Pierwszy Jan, ochłonąwszy, głos zabrał.

*) Można rozmawiać, ale nie zbliżać się.

— Mój Tadziu, powiedz mi przedewszystkiem, czego potrzebujesz, a postaramy ci się dostarczyć.

— Bielizny będę potrzebował i książek.

— I pościeli nie masz? — odezwała się matka.

— Chłopcy przysłali mi poduszkę, kołdrę i prześcieradła, a to najważniejsze.

— My nie przysyłaliśmy ci nic, — zaprotestował Gienio.

— To ty, Anielciu?

— Ani ja.

— Zatem kto? — pytał Jan.

Twarz Tadeusza rozjaśniła się wyrazem rozrzewnienia.

— Już wiem zatem, — rzekł spuszczając głowę, aby ukryć łzy, które zaszkliły mu oczy.

— Moja mateczko, — dodał, opanowawszy wzruszenie, — namartwiła się mama przezemnie.

— Okropnie, — szepnęła.

— Sprawa się wyjaśni, — rzekł Poręcki i puszczą cię niebawem, przecież nie będą cię trzymać bez żadnej racyi, ała jakiegoś nieporozumienia, — dodał znacząco.

— Boję się jednego, bo to na nieszczęście owego wieczoru było u mnie kilka osób., czy czasem nie robiono i gdzieindziej rewizyi... Nie wiesz, Gieniu?

— Owszem zaraz następnej nocy były rewizye u Przewódzkiej, Iżyckich, Żurakowskiego...

— I co?

— Wzięto pannę Iżycką.

Tadeusz podskoczył naprzód; twarz jego przybrała wyraz nieopisanego przerażenia.

— Wzięto! wzięto!

— Ojciec jej życiem to przepłacił.

Tadeusz ręce założył w tył głowy, ściskając ją jakby z obawy, żeby nie pękła, odszedł w stronę okna, potem jak błędny zwrócił się i przeszedłszy dwa kroki, uderzył o pierś stojącego żandarma, zatoczył się w tył i padł na ławę z głośnem łkaniem.

— Tadziu, dziecko moje najdroższe! zawołała matka rzucając się ku niemu.

Ręka żandarma powstrzymała ją w pół drogi.

— Nelzia! *) — ryknął.

I było coś tragicznego w tej rozpaczy młodego chłopca, na którą patrzały najbardziej kochające istoty, skazane na bierność, bez możności utulenia tej ukochanej głowy, otarcia łez z twarzy. Podniósł się ogólny płacz. Biedna matka, która od przyjścia na świat syna, przywykła koić każde jego zakwilenie, odsuwać każdą troskę, musiała patrzeć bezradnie jak syn jej między dwoma żandarmami zanosił się od łkań.

Pierwsza Wanda, instynktem zakochanej dziewczyny wiedziona, odgadła prawdę i otarłszy oczy, odezwała się serdecznie:

— Tadziulku, my się zajmiemy losem tej panienki jak rodzonej siostry, daj tylko szczegóły dotyczące jej osoby.

— My z Wiciem znamy ją, wtrącił pospiesznie Gienio. Jej brat jest moim serdecznym przyjacielem.

— Tak, tak, Wanduchno droga, jedyna, zajmijcie się nią, ona jest dobra, miła i taka szlachetna i ostatecznie cierpi tylko przezemnie, boć nikogo innego z towarzystwa nie zaaresztowano, ją jedną, dla tego, że chciała wynieść z mego mieszkania jedyny dokument, który rzeczywiście mógł był mnie skompromitować.

Tu Tadeusz znowu schwycił się za głowę.

*) Nie wolno.

— Gdy pomyślę, co tam za scena musiała się rozegrać, gdy ojciec aż życiem przepłacił.....

Łkania wstrząsnęły znów jego piersią.

— A gdybyś wiedział, synu, co ja przecierpiałam, odezwała się ponuro pani Iza, jakby zazdrosna o siłę cierpienia, którego ktoś inny wobec swego dziecka dał wymowniejszy dowód, jeżeli to przeżyłam to tylko dzięki memu silnemu organizmowi.

Popatrzał na nią z rozpaczą.

— Tyle na raz! tyle na raz! jęknął... Postarajcie się z nią zobaczyć! dodał błagalnie.

— Zapewniamy cię, że wszelkich starań dołożymy, rzekła Aniela.

— Zobaczymy się wprzód z nią, a potem z tobą, żeby przynieść ci wiadomości, dodała Wanda.

— Robimy też starania, aby wypuszczono cię za kaucyą, dorzucił Poręcki.

Żandarmi wzywali więźnia do odejścia.

— Nie poddawaj się czarnym myślom, upominał Jan. Nie jesteś tak skompromitowany, abyś miał przewidywać zsyłkę, albo długie miesiące Cytadeli. Tymczasem pracuj, książek dostarczać ci będziemy. Jeszcze może jakie arcydzieło stworzysz w tej samotności.

— Bóg z tobą synu drogi, mówiła przez łzy pani Iza. Myśl moja nie będzie odstępować cię w tych smutnych miejscach.

— Mamo pamiętaj, że masz tu i córkę, szepnął.

Twarz pani Izy skurczyła się nerwowo.

— Ja już ją kocham! zawołała gorąco Wanda.

Rzucił jej spojrzenie pełne wdzięczności i zniknął za drzwiami.

Pani Iza z dziećmi i Poręckim wsiadła do powozu. Zaledwie konie ruszyły padła na piersi Anieli zanosząc się konsulsyjnem łkaniem.

— Mamo, niechżeż mama nie poddaje się tak rozpaczy, perswadował Poręcki. Toć go mama widziała, zdrów jest. Chłopak młody, silny, taki pobyt w Cytadeli nie odbije się niekorzystnie na zdrowiu, a duszę stanowczo wyrabia i hartuje.

— To, że mnie taki cios zadał, to go nie obeszło wśród łkań mówiła pani Iza, ale jak się dowiedział o tej pannie, to wpadł w rozpacz; więc czemże ja, matka, jestem wobec takiej pierwszej lepszej!

— Mamo, to szlachetna panienka, którą on kocha, — odezwała się zdziwiona Wanda.

— Która poświęciła się dla niego, dodał Gienio, z narażeniem własnego bezpieczeństwa chciała wynieść papiery kompromitujące Tadzia.

— Już on nie mój; podwójnie stracony!

Młode towarzystwo ze zdziwieniem popatrzyło po sobie.

— Czy i ja jestem stracona dla mamy? zapytała Aniela.

— Ty co innego, córka zawsze należy do matki; mężczyzna idzie za kobietą.

— Mamo, to taka zacna i rozumna panienka odezwał się Gienio, że mama powinna być szczęśliwą, iż Tadzio tak dobrze swoje serce umieścił.

— I myśli teraz tylko o niej i obojętnem mu jest, że mnie taki cios zadał... I co może być za panna, co się włóczy po nocy po studenckich mieszkaniach?

— Ah mamo, zawołał porywczo Gienio, jak można zaraz ferować takie wyroki! To jest najzacniejsza panienka, a była u Tadzia, bo w jego mieszkaniu urządziliśmy wieczorek, było nas 12 osób, w tem 5 kobiet.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwudziestoośmioletnie wygnanie
czyli
ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.
Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

17)

(Ciąg dalszy.)

Po odesłaniu tych listów, wyobraźcie sobie moi czytelnicy, czekam tydzień, dwa, miesiąc, półtora, dwa nakoniec, suszę i łamię sobie głowę, dopuszczam wszystkie możebne i niemożebne zwłoki rozwlekłych form moskiewskich, przez jakie listy moje przechodzić mają, i myśl, że Albina choruje albo umarła, i dla tego nie odpowiada, rzuca mną jak lwem, świeżo zamkniętym w klatce! Po wszystkich kątach mojego więzienia biegam, wstrząsam kratami, próbuję i pieca, porywam jak Samson za zawiasy bramy Gazy, i zdaje mi się, że pchnięciem ramienia mogę to skruszyć, ale to wszystko, jak moja straż nieruchome i niewzruszone!... O Boże! ani litery od żony! ani najmniejszej wiadomości znikąd, nawet czy żyje, nie wiem! a przecież rzuciłbym się za nią choć w piekło, i wydarł ją jak Orfeusz Eurydykę z rąk Plutona. O Boże! co za serca! proszę, błagam i pytam ze łzami każdego, i nic, prócz przeklętego: *nie mogu znat'* nie słyszę. O! skały, o! kamienie, o ludzie! bez serca i życia, wykrzykuję jak waryat... Raz nawet do takiego stopnia rozpaczy i wściekłości doszedłem, że wchodzącego do mnie z obiadem podoficera, schwyciłem za gardło, i trzęsąc nim, wrzasnąłem mu po nad uchem:

— Powiedz mi, czy żyje moja żona?!

— *Nie mogu znat'* — odpowiedział przelękniony.

— A ty! sam bestyja, czy żyjesz jeszcze?

—*Nic mogu znat'*.

— O Boże! dodaj mi cierpliwości! — wznióślszy rękę, uderzyłem pięścią w talerze, i te rozbite na kawałki, rozleciały się po podłodze...

Nic mi na to nie odpowiedziano, z największą tylko flegmą wyczyszczono podłogę, i mię samego bez obiadu zostawiono.

Ochłonąwszy nieco, wstydziłem się mojego uniesienia, żałowałem i wyrzucałem sam sobie:

— Co mi winni biedni sołdaci? — pomyślałem — oni zmieniając się codziennie, o niczem nie wiedzą, pilnują tylko więzienia, i nic więcej, jak tylko że spełniają rozkazy wyższych, ci jeszcze wyższych... tamci jeszcze i jeszcze...

I tak ścigając myślą po drabinie, na najwyższy szczebel z żalem i wyrzutem popatrzałem, a odwróciwszy z pogardą wzrok swój od niego, spojrzałem w niebo, i rzewnie płacząc, w religii pociechy i ulgi szukałem.

W parę godzin, przyszedł do mnie placmajor, i oznajmił mi, że jeżeli dopuszczę się czegoś podobnego, jak z podoficerem zrobiłem, to władza, acz niechętnie, zmuszoną będzie utrzymać mię w karbach przyzwoitych więźniowi. I to mówiąc, pokazał na ręce, że i te okuć można.

— Możecie — odpowiedziałem — ale póki mi serca nie wydrzecie, to jeszcze czuć będę, że postępujecie ze mną po barbarzyńsku, i gorzej, niż siły człowieka znieść mogą.

IV.

W pierwszych dniach lutego, 1841 roku, przywołano mię znów do sądu, i objawiono, że sprawa moja ukończoną została, i do Petersburga odesłaną będzie.

Z przeczytanej mi przez członka sądowego, decyzyi wojennego sądu, dowiedziałem się, że sprawę moją rozdzielono na cztery kategorye, a mianowicie:

I. Za odłączenie się od służby;

II. Za ukrywanie się w domu przez siedm miesięcy;

III. Za uwożenie dzieci nieżywych, i

IV. Za tajemną korespondencyę z żoną w więzieniu.

Przy czytaniu każdej kategoryi, cytowano niezliczoną ilość artykułów, paragrafów, postanowień, ukazów i dodatków z różnych tomów *Swodu Zakonów*, zdaje mi się jeszcze Piotra Wielkiego, i powiedziano, że za to wszystko, należałoby mię powiesić; zważywszy atoli na inne zwalniające okoliczności, przy których znowu odwoływano się do mnóstwa artykułów i paragrafów, zadecydowano, ażeby mię za te wszystkie zbrodnie, pozbawić praw szlachectwa, i wytrzymać na odwachu przez sześć miesięcy.

Po przeczytaniu, zapytano mię, czy ja nie mam co dodać lub ująć, i czy jestem zadowolony z tego, com słyszał?...

Zaprawdę! moja biedna głowa słysząc to, co mi czytano, a nie rozumiejąc dobrze języka, w takim była chaosie, i tak natłokiem rozlicznych myśli obciążona, że zrozumiawszy wyraz: „szubienica,“ czekałem tylko, rychło mię ze stryczkiem na szyi poprowadzą, dla tego nagle zapytany, nie wiedziałem co odpowiedzieć. Otrząsnąwszy się jednak z przygniatających mię wzruszeń, zapytałem mych sędziów, czy mi pozwolą słów kilka do cesarza napisać, i kiedy mi nie odmówiono, a osobny stolik przygotowano, napisałem co następuje:

Najjaśniejszy Cesarzu i Królu, Panie mój Miłościwy!

„Może być w życiu mojem, nie miałbym szczęścia pisania do Waszej Cesarskiej Mości, gdybym nie był pod sądem, korzystając przeto z dozwolonego mi prawem przywileju, jako więzień, żołnierz i poddany, ośmielam się zwrócić Najjaśniejszego Pana uwagę, na najpokorniejsze moje wyrazy.

„Prawda zawsze bywała i być powinna pożądaną dla tronu, moja więc otwartość, spodziewam się, że łaskawie będzie przyjętą.

„Nastawanie na życie moje w cytadeli warszawskiej, miało pobudki święte, i gdyby przedmiotem onych był rząd rosyjski, postępek mój uważanoby za chwalebny; natura rzeczy nie zmieniła się przeto, że cel onej jest różny. Tu to w cytadeli po mojem wyzdrowieniu i przystąpieniu do inkwizycyi, w obliczu całej komisyi śledczej. Prezes jej zabrawszy głos. „Nie sądź Pan“, mówił do mnie, „ażeby rząd nie umiał ocenić postępu jego, czuje on i aż nadto dobrze pojmuje, że wielkość charakteru i moc duszy, jaką okazałeś w tej sprawie, może być rękojmią dla drugiej, dla tego w imieniu cesarza i jego rządu, dajemy panu słowo honoru, że chociaż prawo, „jako wymagające satysfakcyi karać cię będzie, ale ukarze lekko.“

„Pięć lat o tem milczałem, mając nawet zamiar topienia się w Uralsku, nic o tem nie wspomniałem w liście moim do atamana pisanym, i dziś, gdybym był pewnym, że komisya śledcza w taki sposób doniosła o tem Waszej Cesarskiej Mości, nie wspomniałbym o tem ani słowa; lecz ta niepewność rozwiązuje niejako moją dotychczasową skromność, i za sobą przemówić mi każe tembardziej, że jestem przekonany, że gdyby W. C. Mości były wiadome, postępowanie komisyi śledczej i słowa, jakie prezes tejże komisyi do mnie wyrzekł, a które honor twój panie, narażają na podejrzenie, bo działający w twem imieniu, pewnie surowo zostaliby ukarani, a mię nie sądzonoby tak srogo.

„Rozkaż Najjaśniejszy Panie, pokazać sobie list mój do atamana uralskiego wojska, w języku francuskim pisany. Z wyszczególnionych tam moich nieszczęść, łaskawie przekonać się raczysz, czy zostawiono mi choć nadzieję przemiany losu!?... Nędznej tranzlokacyi?! ostatniego i ostatniemu żołnierzowi służącego przywileju! i tego wymodlić nie mogłem!... Nieszczęśliwym, nie wiele potrzeba! kto wie? przemiana miejsca — nowe nadzieje — zdrowsze dla żony i dziecka powietrze, możeby wstrzymały postępek mój 9-go listopada!...

„Fałszywe jest zdanie, jakoby bezbożni tylko ludzie dopuszczali się samobójstwa. Ja dwa razy nastawałem na życie moje, dwa razy modląc się, miałem łzę w oku, Bóg widział żem nie bezbożny, i dosyć mi na tem! — Czerpałem prócz tego w księgach świętych słowa, zabraniającego odbierać sobie życie, lecz prócz mnóstwa przykładów, niegdyś prawami i religią dozwolonych, zabijania się na grobach swoich wodzów, palenia się wdów na stosach mężów, znalazłem w naszej tu panującej religii chrześciańskiej, gdzie Bóg dał cudowną moc Samsonowi, który przez wstrząśnienie słupa, siebie i przytomnych zabija. Gdyby więc samobójstwo było zbrodnią, miałżeby Bóg cudem upoważnić człowieka, do popełnienia onej!? — Lecz jeżeli ten ostatni dowód Pisma świętego, jest bezzasadnym i sprzeciwia się prawom towarzyskim, po cóż z pod cenzury i prasy wychodzi tyle ksiąg, napełnionych przykładami heroicznego po-

święcenia się?... Drzewko młode skrzywione, będzie krzywo rosło.

„Nie godzien bym był względów i uwagi Najjaśniejszego Pana, gdybym będąc w traźniejszej sprawie szkodliwym rządowi lub społeczeństwu, prosił o łaskę, ale nie zrobiwszy nikomu nic złego, i tylko zbiegiem okoliczności popchnięty, mając się więcej za nieszczęśliwego niż występnego, ja najpierwszy z pomiędzy nieszczęśliwych, mam prawo, błagać najpokorniej Waszą Cesarską Mość, o łaskę dla mojej żony i siebie.

„Przysięgam na Boga, świętą Ewangelię i mój dotąd nie splamiony honor, że pragnę żyć wraz z żoną według zasad cnoty, i prawideł moralności!... Lecz jeżeli to przyrzeczenie i dotychczasowe nasze cierpienia, nie zaspokoją prawa i nie wzruszą Twojego Najjaśniejszy Panie serca, a nowemi cierpieniami każesz przedłużać nasze męczarnie, ja będę cierpiał, ale cierpienia moje poświęcę Temu, który nas wszystkich sądzić będzie!“

Prócz tego, napisałem jeszcze do gubernatora oremburskiego, jenerała-adjutanta Perowskiego, w Petersburgu podówczas będącego.

Panie Jenerale!

„Nie będę, opisując panu moje nieszczęscia, prosić za niemi, bo prośba dla podobnych jemu osób, jest podług mnie pewnym rodzajem uchybienia. Dla nich dosyć jest wiedzieć, że jest dwoje nieszczęśliwych małżonków, którzy przemęczywszy się lat kilka, cierpią okropnie, i potrzebują ratunku!

„Jenerale! kto tyle może, kto tyle dobrego zrobił dla tutejszej gubernii! kogo tak mile tu wspominają, i z upragnieniem oczekują! ten i o nas nie zapomni!... Lecz, jeżeli wina moja jest tak ciężką, że nie znajdzie przebaczenia, niech przynajmniej żona moja, ten obraz chodzącej cnoty, nie męczy się dłużej!

„Owoc mojego z nią związku, w pierwszych dniach kwietnia dojrzeje, dla podobnych kobiet, są to chwile stanowcze; o! gdybym mógł widzieć ją jeszcze! kto wie? może wydając na świat!... o! Boże, jakaż to myśl!...

„List mój na imię cesarza pisany i adresowany, a do sprawy mojej przyłączony, polecam panu jenerałowi; jedno słowo przychylne przy wręczeniu go, wszystko zrobić może, albowiem i on równie jak i my wszyscy, z kobiety się urodził“.

Kiedym to ukończył, prosiłem jeszcze prezesa sądu, aby mi do sędziów petersburskich słów parę napisać dozwolił, i oto jest co napisałem:

Sędziowie!

„O! gdyby ci, od których ukończenie tej sprawy, a stąd połączenie nas dwojga zależy wspomnieć raczyli, ile gorzkiemi łzami każda ich próżna minuta jest przez nas opłakiwaną, pozbawili by się wszelkich przyjemności światowych, rzuciliby swoje zabawy, spacery, polowania, teatra, maszkarady, bilardy, karty, bale, resursy, kluby, słowem wszystko, a pospieszyliby ukończyć ten nieszczęśliwy proces, który nie dopuszczam, aby mnie z żoną nie miał połączyć“.

Kiedy powróciłem do siebie, jakąś ulgę w mem sercu uczułem, tak mi się jakoś lekko zrobiło, bom sobie wyobrażał, że na tyle moich próśb, zabiegów, starań i błagań, trafię choć na jedną litościwą istotę! a jako młodemu, niedoświadczonemu i nieznającemu sądownictwa i form jego przeklętych, zdawało mi się, że moi sędziowie rzeczywiście rzucą wszystko i natychmiast wezmą się do mojej sprawy. Marzyłem, że i pocztylion wioząc ją, pospieszy, i konie prędzej pobiegną; wyobrażałem sobie, jak w Petersburgu czekać będą na rogatce na moje akta, jak je wyrwą z post-pakietu i przyniosą, i rozłożą, i rozpatrzą, i zadecydują, i przedstawią, i podpiszą, i wręczając pocztylionowi, każą mu pędzić na złamanie karku do Oremburga, ażeby jak można najprędzej oswobodzić i połączyć tę tkliwą i kochającą się parę; słowem, tak marząc, byłem szczęśliwy i widziałem się już w objęciach żony.

O! szczęśliwe młode marzenia, wyście zupełnie podobne do wiosny, która lekko powiewającym wiaterkiem, kołysze kwitnącego drzewa gałęzie, lecz przyjdzie burza, oblecą kwiaty, i wy zamiast oczekiwanych owoców, puste tylko gałązki znajdziecie!

Takiemi myślami byłem zajęty, kiedy drzwi do mnie otworzono, i ja wraz ze strażą, spostrzegłem kowala, młot w ręku trzymającego, który z rozkazu sądu wojennego, przyszedł zdjąć mi kajdany. Wypadek ten, więcej upewnił mię o moich marzeniach, że kiedy tak prędko, bo w parę godzin po ukończeniu mej sprawy, od żelaz mię oswobodzono, sądziłem, że reszta pójdzie szybko i dobrze.

Uradowany, zapytałem otaczającej mię straży: „kiedy poczta do Oremburga odchodzi?“ ale straż, wierna swoim zasadom, z osłupieniem na siebie i na mnie popatrzała, ramionami wzruszyła, i odpowiedziawszy: „nie mogu znat‘“, wyszła spokojnie.

Z tego wszystkiego wniosłem, że ona była tego zdania, iż ja się pomyliłem, i że zamiast o żonę, o pocztę zapytałem. Tak ona przyzwyczaiła się do jednych i tych samych moich zapytań.

Lecz kiedy dnie, tygodnie i miesiące upływały, i ja znowu najmniejszej wiadomości o Albinie nie miałem, i położenie moje w niczem a niczem się nie zmieniło, przekonałem się dopiero, że wszystkie moje wyrachowania były rzeczywiście prawdziwemi marzeniami, w bańce mydlanej zamkniętemi. I w samej rzeczy, pięć miesięcy jeszcze tąk przeszło bez najmniejszej w losie moim przemiany, w końcu których przyjechał nareszcie z Petersburga jenerał-major Perowski. O tym wypadku trudno mi było nie wiedzieć, kiedy warta na korytarzu, o nim ciągle głośno mówiła, a ja słyszałem.

Kilka dni czasu pozwoliłem mu, aby się rozgościł, po przejściu których zacząłem się domagać, żeby mu powiedziano, iż ja pragnę go widzieć. Ciągle mi warta obiecywała, ale skutku żadnego nie było. Powiedziałem nareszcie oficerowi od warty, że ja mam ważny do gubernatora interes, gdyż chcę mu odkryć tajemnicę państwa. Mówiąc tę nieprawdę, rumieniłem się, chociaż w komisyi śledczej warszawskiej, porządnie z początku łgałem, ale cóż było robić?... Oficer znów mi obiecał, zmienił się, i ja znów parę tygodni czekałem napróżno, aż nakoniec zniecierpliwiony, przypomniałem sobie jedną okoliczność, i ułożywszy plan w głowie, rzuciłem się do surduta, i dostałem z kołnierza zachowaną jeszcze w Uralsku igłę. Nią uzbrojony, napisałem na grzebieniu z kości słoniowej, do gubernatora następujące słowa:

Panie Jenerale!

„Człowiek prześladowany ma takie prawa, jakich inni nie mają, dla tego prosząc przebaczenia, za śmiałość napisania w podobny sposób, odważam się jeszcze błagać cię jenerale o danie mi posłuchania, bądź w jego mieszkaniu, bądź w mojem więzieniu“.

Po napisaniu, grzebień ten potarłem dłonią, i wszystkie litery zrobiły się czytelne.

Przed parą jeszcze miesiącami, w czasie, gdy posługacz mój pokój zamiatał, oficer od warty wytrząsał do swego kapciucha tytoń Żukowa, i ostatni wychodząc odemnie — paczkę próżną z tytoniu, upuścił na podłogę. Ja po wyjściu warty i zamknięciu drzwi, schwyciłem ją, i ciągle myśląc o jednem, sądziłem, że jakaś przychylna mi dusza, tajemniczym sposobem pisze mi na tej paczce, o mojej żonie. Lecz przekonawszy się, że znów marzyłem, złożyłem ten próżny papier sam nie wiedząc dla czego, i najstaranniej go chowałem; aż nareszcie teraz przypomniawszy sobie, dostałem go, obwinąłem nim grzebień w kilkoro, lak zaś będący na wspomnionej paczce, troskliwie zebrałem, i nim, jako też i zdjętą z palca pieczątką, mając nieustanny ogień w nocy, zapieczętowałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P

32) (Ciąg dalszy.)

Więc przypuszczenie, że podrobienie klucza na wzór tego, który stale wisiał w kuchni, okazało się bezpodstawnem i przewodniczący twierdził na nowo, że odcisk zamku musiał być zrobiony na zewnątrz.

— Proszę sędziów przysięgłych — rzekł — aby dobrze rozważyli tę rzecz, bo to jest najważniejsze! Oskarżeni zaprzeczają — a całe oskarżenie właśnie się na tem głównie opiera!

Na prośbę sędziego przysięgłego, pana Durin, przyniesiono teraz zamek i klucz. Publiczność patrzała na wszystko to z niezmierną ciekawością.

Pan Durin wziął zamek i patrzał na niego okiem znawcy, zwracając uwagę swoich sąsiadów na niektóre jego części.

— No i cóż? — zapytał nareszcie przewodniczący niecierpliwie.

— Zobaczyłem to, co widzieć chciałem — odrzekł pan Durin. — Każ pan teraz przywołać ślusarza, niech on wypowie swoje zdanie!

Wezwano więc ślusarza.

— Proszę — odezwał się Durin — aby zdjęto z wierzchu blachę, która pokrywa wewnętrzny mechanizm zamku.

— Możecie to zrobić? — zwrócił się przewodniczący do ślusarza.

— O tak, bardzo łatwo.

I w przeciągu kilku minut została blacha zdjętą.

— Otóż rzecz załatwiona! — rzekł ślusarz.

— Jaki to więc zamek?

— Bardzo sztuczny, zamyka się dwa razy na krzyżyki, które się na kluczu znajdować muszą.

— Czy można z takiego zamku wziąść odcisk woskiem? — zapytał Durin.

— Nie, to jest niemożliwe — brzmiała odpowiedź ślusarza. — Cała kostrukcya wewnętrzna zakrytą była blachą, a więc nikt w świecie nie mógłby zrobić na zamku odcisku woskowego. To się robi tylko przy zamkach zwyczajnych.

Przewodniczący, sędziowie i cała publiczność osłupieli.

— Jakto — zawołał Anatol Latour — więc jeżeli nie można dorobić klucza podług odcisku woskowego, to jakimże sposobem dorobiono go?

— Bardzo prostym — odrzekł ślusarz — dano na wzór klucz!

— A zatem — dodał pan Litzel — jeżeli ani hrabina ani doktór Darby owego klucza w ręku mieć nie mogli, to też nie mogli oni dać innego zrobić i otworzyć drzwi ogrodowe od ulicy. Oskarżenie ich o zbrodnię upada tem samem zupełnie!

Na sali nieopisana powstała wrzawa. Daremnie dzwonił przewodniczący, daremnie prosili sędziowie o spokój, wołano gośno „brawo!“, klaskano w ręce, i w najrozmaitszy sposób objawiano zadowolenie z takiego zakończenia sprawy.

Rozstrzygnięcie procesu i odczytanie wyroku miało się odbyć nazajutrz

ROZDZIAŁ 9.

W przekonaniu publiczności rzecz była już rozstrzygniętą, oskarżeni musieli być uwolnieni. Ale pomimo wyjaśnienia sprawy z podrobieniem klucza pozostawało jeszcze dużo ciemnych punktów w tym procesie. Jeżeli nie Lucyan, to kto mógł zamordować hrabiego Noirville? Komu śmierć jego mogła przynieść jakieś korzyści?

Tę kwestyę poruszył zręcznie prokurator, dowodząc, że przy zbrodni, popełnionej bez świadków, są dowody niewinności zawsze słabe i niedostateczne. Ale pan Litzel, który zaraz po nim głos zabrał, mówił tak przekonywająco i wyzyskał tak po mistrzowsku orzeczenie ślusarza, że gdy skończył, nie zostało już ani jednego dowodu oskarżenia.

— Nie chcę badać, — dodał jeszcze w końcu, — bo to jest zadaniem sądu lub policyi, lecz ci, którzy siedzą na ławie oskarżonych nie popełnili tej zbrodni, i sędziowie przysięgli zgrzeszyliby ciężko, gdyby mieli wydać karę na tych dwoje niewinnych!

Po równie świetnej mowie obrońcy Lucyana oddalili się sędziowie do przyległej sali na naradę, która trwała blisko godzinę.

Alfons i Robert siedzieli jak na żarzących węglach, a twarze ich wyrażały o wiele większy strach i niepokój, jak twarze tych, których losy miały być teraz rozstrzygnięte.

— Jeżeli zostaną uznani za niewinnych, — myślał Robert, — to nad głowami naszemi zawiśnie straszne niebezpieczeństwo!

Alfons myślał mniej więcej to samo.

Nakoniec rozległ się głos dzwonka i sędziowie wrócili na miejsca.

Teraz śmiertelna nastąpiła cisza. Przwodniczący wstał, przetarł okulary, odkasznął i rzekł uroczyście:

— Na moje sumienie i w obliczu Boga oznajmiam, że przysięgli uznali oboje oskarżonych za niewinnych!

Lucyan i Nora stali się śmiertelnie bladymi lecz nie stracili ani na chwilę godności i spokoju. Nora podała Lucyanowi rękę, którą z uczuciem niewysłowionego szczęścia do ust przycisnął, lecz oboje milczeli. Wzruszenie zbyt było silnem i głębokiem.

Hrabina Beaumont zabrała natychmiast Norę z sobą i Helenka z płaczem rzuciła się w objęcia przyjaciółki.

— Dokąd mam jechać? — zapytała Nora ze łzami w oczach.

— Do twego domu, do pałacu Noirville, — odrzekła hrabina.

— Za nic w świecie!

— Więc do twego opiekuna!

— Nie, i tam mieszkać nie chcę. Wolę hotel jaki, — odrzekła Nora po chwili namysłu.

— Dobrze, więc do Louvru.

I kareta ruszyła z miejsca.

W tym samym czasie opuścił i Lucyan więzienie. I gdy przestępował próg tego gmachu, w którym przepędził tyle dni w strasznej rozpaczy, ujrzał tę, która najwięcej może cierpiała nad jego nieszczęściem, to jest, matkę swoją.

Jeden krzyk radości dał się słyszeć, i syn i matka padli sobie w objęcia.

ROZDZIAŁ 10.

Nora została w hotelu du Louvre i wzbraniała się stanowczo zamieszkać w pałacu Noirville. Hrabina Beaumont przeniosła się teraz także do hotelu i tak była Nora zawsze razem z Helenką.

— Zdaje mi się — rzekła raz Helenka — że obecnie nie ma na świecie dwojga szczęśliwszych ludzi, jak ty i Lucyan.

Nora zarumieniła się.

— Lucyan! — szepnęła z słodkim uśmiechem. — Jakże ja mu zdołam wynagrodzić wszystko złe, jakiego doznał z mego powodu!

— Winnaś mu rzeczywiście świetne wynagrodzenie — zawołała Helenka — ale ja myślę, że on się zadowolni chwilowo tem, że będzie cię mógł często widywać i mówić ci o swej miłości. Później...

— Nie, Helenko! Zostałam żoną Gastona, jestem wdową po nim, i bądź co bądź muszę nosić żałobę przez rok cały. Postanowiłam więc przez cały ten czas nie widzieć Lucyana!

— Noro! Jak możesz mówić coś podobnego!

— Jestem to winną światu, Lucyanowi i sobie samej. Chcę, jeżeli Bóg dozwoli, nosić z podniesionem czołem jego nazwisko.

— I zostaniesz tutaj cały ten rok?

— Nie, pragnęłabym wyjechać gdzie, najchętniej do Szwajcaryi!

— Ach, to wyborna myśl! Będziesz u nas!

I Helenka pobiegła uwiadomić o tem matkę.

Hrabina ucieszyła się niezmiernie z postanowienia Nory i zaprosiła ją na cały czas jej pobytu w Szwajcaryi do siebie, do swej willi w Genthod.

— Przyjmuję z wdzięcznością gościnność pani — odrzekła Nora — bo wiem, że sama mieszkać nie mogę, i nie chciałabym zostać w Paryżu.

— Słusznie, byłabyś tu przedmiotem ciekawości i tak. Za rok ludzie i wszystkim już zapomną!

— Więc kiedy wyjeżdżamy? — zawołała Helenka rozpromieniona.

— Kiedy Nora zechce.

— Za trzy lub cztery dni — odrzekła młoda kobieta. — Przedewszystkiem muszę się rozmówić z moim opiekunem. On zarządza całym moim majątkiem, muszę więc załatwić z nim to i owo. Zechcesz mi pani towarzyszyć?

— Bardzo chętnie — odrzekła hrabina.

Pół godziny później wyjeżdżały wszystkie trzy na miasto, Nora zaś oddała poprzednio jeszcze list do Lucyana.

Napisała mu kilka słów tylko:

„Ukochany Lucyanie!

„Obecnie nic nas nie rozłącza, miłość nasza przetrwała wszystko! Z mojej winy cierpiałeś długo — gdybym miała trochę więcej odwagi, nie byłabym sprowadziła na nas takiego nieszczęścia! Oddałam ci moje serce, lecz zlękłam się walki, i na moje jedyne uniewinnienie mogę ci tylko to powiedzieć, że nie przestałam cię nigdy kochać! Chciałeś sobie odebrać życie, lecz Bóg uchronił nas od tego nieszczęścia, i za to winniśmy Mu wdzięczność bez granic.

A teraz co do naszej przyszłości. Jako wdowa po Gastonie Noirville chcę nosić rok cały żałobę i przez ten czas nie możemy się widywać. Myślę, że zrozumiesz mnie i zgodzisz się na to. Rok ten przepędzę w Szwajcaryi u pani Beaumont, w jej willi w Genthod nad jeziorem genewskiem. Wiesz, jak cię pani Beaumont i Helenka lubią i cenią, więc i na mój pobyt u nich zgodzisz się też pewnie. Proszę cię, nie przyjeżdżaj tam przez ten rok — wszakże to wnet minie, i potem nic już nie stanie na przeszkodzie naszemu szczęściu. Bywaj zdrów ukochany, wyjeżdżam za trzy dni i nie chcę się nawet osobiście żegnać z tobą. W naszem położeniu musimy unikać wszystkiego, co by nam w oczach ludzi zaszkodzić mogło. Za rok zobaczymy się, i wtedy nic nas już nie rozłączy. Myśl o tobie doda mi siły!

Twoja Nora".

ROZDZIAŁ 11.

Na widok Nory nie mógł pan Nivel ukryć swego wzruszenia i zakłopotania. Nie śmiał jej dotąd odwiedzić, lękając się jej wyrzutów — to też stał teraz w milczeniu, nie wiedząc poprostu, co ma powiedzieć.

— Przychodzę do pana, — zaczęła Nora, — z prośbą, abyś...

— Zaraz, zaraz, — przerwał żywo, odzyskując zimną krew, — pozwól najpierw mnie mówić. Wiem, że zawiniłem ciężko wobec ciebie, moje dziecko, i że pierwsze słowa, jakie wyrzekłem po owej strasznej śmierci hrabiego Gastona, przyczyniły się wielce do twego nieszczęścia, bo zdawały się potwierdzać podejrzenie, jakie ciężyło na tobie. Ale....

— Nie mówmy już o tem, — zawołała Nora, — nie robię panu żadnych zarzutów i pragnę zapomnieć o przeszłości!

— Pragnąłem przecież twego szczęścia, i przyrzeczenie dane twemu ojcu...

— Wiem, wiem, lecz mówmy o czem innem! Przychodzę do pana, aby załatwić sprawy pieniężne, bo wyjeżdżam z Paryża.

— Doprawdy! Dokąd?

— Do Szwajcaryi, do pani Beaumont, która nigdy nie zwątpiła o mnie.

Pan Nivel zarumienił się lekko.

— Zamierzam zostać tam cały rok, — mówiła Nora dalej, — dla tego chcę załatwić wszystko tak, abym się przez cały ten czas niczem nie potrzebowała zajmować.

— Jak sobie życzysz droga Noro.

— Wszakże cały mój majątek znajduje się w rękach pana?

— Tak i masz go na każde zawołanie, z wyjątkiem tego miliona, który ma zostać wypłacony twej siostrze, w razie, gdybyś w przeciągu dwóch lat nie wyszła po raz drugi za mąż. Ale procenta mam wypłacać tobie.

— Więc jaką sumą mogę natychmiast rozporządzać?

— Mam w depozycie dwa i pół miliona franków.

— Chcesz je pan zatrzymać nadal u siebie?

— Byłby to wielki dowód zaufania z twej strony!

— O, wiem przecież, że jesteś pan niezmiernie sumiennym i uczciwym człowiekiem! Prosiłabym tylko o sto tysięcy franków zaraz......

— Chętnie. O dwunastej przyślę ci je do hotelu.

— Następnie proszę o list kredytowy do jakiego bankiera w Szwajcaryi.

— Wystawię go natychmiast do bankiera Oppena w Genewie.

— Zarządza pan także majątkiem hrabiego Noirville?

— Majątkiem — nie — mam tylko dokumenta wszystkie i hipoteki. Wynosi to razem około siedmiu milionów i jest twoją niezaprzeczoną własnością!

— Wiem, ale wyrzekam się tego majątku i chciałabym się pana zapytać, w jaki sposób mogłabym go zwrócić familii hrabiego!

— Jakto, chcesz się wyrzeknąć tego olbrzymiego majątku? — krzyknął pan Nivel z niedowierzaniem.

— Tak. Nie ruszyłabym ani grosza z tych pieniędzy!

— Może masz słuszność, — rzekł po chwili namysłu. — Pojmuję, że powody skłaniają cię do tego, są szlachetne i nie mogę cię ganić. Uczynię zatem tak, jak chcesz!

— Dziękuję panu.

Nora pożegnała opiekuna bardzo chłodno i wróciła do hotelu, gdzie już czekał na nią pan Aleksander.

— Słyszałem, — rzekł, — że pani hrabina zamierza wyjechać, przyszedłem więc po rozkazy.

— Wyjeżdżam na cały rok, — odpowiedziała Nora, — i zostawiłam zarząd wszystkiego panu notaryuszowi Nivelowi. Udajcie się do niego. Zdaje mi się, że nie potrzeba trzymać dłużej w pałacu tak licznej służby, niechaj sobie każdy innego szuka miejsca. Proszę im wypłacić zasługi na pół roku naprzód i przynieść mi wszystkie obrachunki, pieniądze mam na to. Pan i odźwierny możecie, jeżeli chcecie, pozostać nadal w pałacu.

Pan Aleksander niezmiernie był zadowolony. Był teraz samowładnym panem w pięknym pałacu, i nie potrzebował nic robić.

Tom szósty.

ROZDZIAŁ 1.

O tym samym czasie kiedy pociąg unosił ku Genewie Norę i hrabinę Beaumont wraz z Helenką, zwołał pan Aleksander całą służbę zmarłego hrabiego do swego pokoju.

— Słuchajcie, — rzekł uroczyście, — mam wam do udzielenia pewnej smutnej wiadomości. Pani hrabina wyjeżdża z Paryża i poleciła mi wypowiedzieć wam służbę. Kazała mi wypłacić wam zasługi na pół roku naprzód. Bardzo to szlachetnie z jej strony, nieprawdaż?

Robert słuchał i drżał z złości. Więc Nora wyjeżdża i nie zamieszka w pałacu?

Ależ w takim razie nie będzie on mógł zbliżyć się do niej i wykonać swego potwornego zamiaru! Dokąd ona chciała jechać?

Od czasu wyjścia z więzienia Nory i Lucyana nie śmiał Robert wyjść z pałacu i odwiedzić brata. Lękał się zawsze, aby w jego nieobecności nie stało się w pałacu coś ważnego, a zresztą nie chciał zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Jako najmłodszy z służby był ostatnim, któremu wypłacono zasługi, został więc przez kilka minut sam z panem Aleksandrem.

— Jestem wyrzucony na ulicę, — rzekł smutnie. — Pieniądze wydam wnet i co mam robić potem?

— Tak, tak, mój chłopcze, żal mi cię, ale pomódz ci nie mogę!

Gdyby pani hrabina nie była tak nagle wyjechała, byłbym jej ofiarował moje usługi. Przecież bez służby obejść się nie może!

— Zapewne, do mnie jednak nic o tem nie wspominała.

— Wiesz pan, dokąd ona pojechała?

— Nie, ale myślę, że panie Beaumont towarzyszą jej.

— A jeżeli pan będziesz jej miał coś do doniesienia?

— Mam się udać do adwokata Nivela.

Robert widział, że dalsze pytania nic mu nie pomogą, pożegnał więc pana Aleksandra i odszedł. Nie mając zaś tu już nic do czynienia, udał się do swego pokoju, zapakował rzeczy i pojechał do mieszkania brata.

Niegodziwy ten chłopak zaczął teraz tracić nadzieję i odwagę, nagły bowiem wyjazd Nory popsuł mu wszelkie zamiary. Zkąd dowiedzieć się, dokąd wyjechała? A chociażby i znał jej miejsce pobytu, jakże miał jechać za nią, zbliżyć się do niej i zabić ją, jeżeli już dwa razy prawie miał ją w rękach, i za każdym razem tak szczęśliwie uszła śmierci?

Alfons był również smutny i przygnębiony.

— No i cóż tam? zapytał wchodzącego brata.

— Eh, nic dobrego.

— Czy policya nas śledzi?

— Ależ nie pleć głupstwa!

— Czy ty myślisz, że nie szukają winnych? Teraz dopiero rozpocznie się szukanie mordercy. I kto wie, jak się to wszystko skończy!

— Nas znaleść nie mogą! Byłem zawsze ostrożny, aż do ostateczności! Trzeba nam się strzedz, ale nic złego nam nie grozi!

— Więc jaką tam masz niedobrą nowinę?

— Hrabina wyjechała i całą służbę odprawiono.

— Wyjechała? Dokąd?

— Tego nikt nie wie.

Uciekła nam!

— Tak, ale my ją odszukamy!

— A potem?

— No, co potem będzie, nietrudno zgadnąć. To już moja rzecz.

— Więc nie wyrzekasz się twoich planów?

— Nie! Za nic w świecie!

— Tylko bądź ostrożny. Boję się! Lepiej dać wszystkiemu pokój!

— I wyrzec się dziesięciu milionów! Oszalałeś pewnie!

— Dziesięć milionów! Dziesięć milionów, — powtarzał Alfons cicho.

— Tak jest, nie licząc jeszcze procentów! Ona ma około czterech milionów, a po mężu sześć.....

— Ah, to tak? — zawołał Alfons. — Więc ty nic nie wiesz?

— Cóż mam wiedzieć?

— Oto czytaj! Pierwszy artykuł!

I Alfons rzucił mu gazetę.

Robert czytał, gryzł usta, marszczył czoło nareszcie cisnął gazetę na ziemię.

— Żeby ją szatan porwał! — krzyknął w najwyższej złości. — Oszalała! Nic innego, tylko oszalała!

W gazecie pisano o zrzeczeniu się Nory majątku po mężu. Chwalono jej dobroć serca i szlachetność, i familia zmarłego nie szczędziła jej najwyższych pochwał i uznania.

— Okradła nas! — krzyknął Robert, uderzając pięściami w stół, — okradła nas haniebnie! Czemu nie mogłem jej zabić przedtem! A miałem zawsze takie przeczucie, że trzeba mi się spieszyć!

— Teraz już nie warto zabierać się do czego!

— No, nie mów tego, zostają nam przecież zawsze jeszcze cztery miliony!

— Więc chcesz raz jeszcze spróbować?

— Tak! Rodzina Martin musi mieć miliony i będzie je mieć, — zawołał Robert z dzikim uporem.

— Ale jeżeli nie wiesz, dokąd ona pojechała?

— Dowiem się. Gdzie i od kogo, tego w tej chwili powiedzieć nie mogę, ale ręczę ci, że wynajdę ją wkrótce.

— Musisz się spieszyć, aby nie rozdała też i swego majątku. Gotowa jeszcze wstąpić do klasztoru i zapisać wszystko na cele dobroczynne. Dopiero by to było! Nie można czekać, doprawdy!

— Już ja wiem, co mi uczynić należy. Tym razem uda mi się, zobaczysz!

— — — — — — — — — — — — —

Podczas kiedy obydwaj bracia, nieposiadając się ze złości, nowe układali plany w celu zgładzenia Nory, sie-

dział Lucyan przy łóżku ciągle jeszcze chorej matki, i okrywał ręce jej gorącemi pocałunkami.

— O mamo droga, — mówił z głębokiem uczuciem, — ile ty wycierpiałaś dla mnie! Całe moje życie nie wystarczy, aby ci krzywdę tę wynagrodzić! Miłość pozbawiła mnie rzeczywiście zmysłów, tak dalece, że zapomniałm o tobie! Ale teraz wszystko złe minęło......

— Przestałeś ją kochać?

— O nie mamo, ta miłość jest częścią mego życia, dopóki więc żyję, nie przestanę jej kochać!

— Więc dobrze, kochany synie! Nie skarżę się już na nic i jestem szczęśliwą nad wyraz! Nora jest wolną i kocha ciebie — zapomnijmy zatem o przeszłości i myślmy o jasnej, uroczej przyszłości!

List Nory sprawił mu w pierwszej chwili wiele przykrości. Myślał on, że będzie mógł widywać ją teraz codziennie, a tymczasem — Nora wyjechała, bez pożegnania się z nim nawet i zamierzała rok cały przepędzić zdala od niego! Ale gdy sobie wszystko dokładnie rozważył, uznał, że postąpiła słusznie, i że tak było rzeczywiście najlepiej.

— Rok, to nie wieczność, pocieszał sam siebie, i to minie. A potem — potem nic nas już rozdzielić nie zdoła!

ROZDZIAŁ 2.

Od ukończenia procesu Nory i Lucyana upłynęły trzy miesiące. Nic się w tym czasie nie zmieniło — jedynie w stosunku Alfonsa i Loli pewne zaszły zmiany.

Z namiętną ciekawością czytała Lola gazety, śledząc przebieg procesu Nory. I gdy przeczytała o uwolnieniu jej, uczuła w pierwszej chwili niezmierną radość, zdawało jej się, że ciężar jakiś spadł jej z serca. Nienawiść, jaką miała dla Nory, zmniejszała się teraz z każdym dniem prawie — hrabia nie żył, była więc pomszczoną i chwilowo dosyć jeszcze miała pieniędzy. Rozchodziły się one wprawdzie z szaloną szybkością, ale ostatecznie — na co były pieniądze, jeżeli nie na to, aby je wydawać? Nie myślała też wcale o przyszłości, była to kobieta żyjąca z dnia na dzień. Miłość Nory i Lucyana wzruszała ją nawet głęboko. Nie kochając nikogo, bo to uczucie, jakie ją wiązało z Alfonsem, nie można było nazywać miłością, pragnęła poznać kogoś, komu by oddała całe serce swoje, kogo by szanowała i kto by ją równie gorąco pokochał. Alfons wzbudzał w niej teraz po prostu wstręt i obrzydzenie, a do tego łączyły się jeszcze wyrzuty sumienia i żal za popełnione zbrodnie.

Widok Roberta mianowicie przejmował ją grozą i upokorzeniem, ale chociażby i uciekła na koniec świata — ten potwór znalazłby ją wszędzie. Byłaby się chciała pozbyć ich, i zapomnieć o nich, lecz oni przyczepili się do jej stóp, tak, jak się wyrzuty sumienia czepiają występców.

Nic zatem nie pomogło jej, nie mogła się od nich wyzwolić, tem mniej, że Alfons znów popadł w nędzę. Gazety jego nikt nie abonował, przestała więc wychodzić, a on zaczął znowu Lolę nagabywać o pieniądze, których mu odmawiać nie śmiała. Zmęczona takiem życiem, postanowiła nareszcie wyjechać z Paryża i wynająć domek z ogrodem w okolicy Creteil, mając nadzieję, że tym sposobem pozbędzie się chociaż w części widoku swego narzeczonego.

Z odziedziczonych stu tysięcy franków nie została jej już ani połowa, ale miała zawsze jeszcze dosyć na te dwa lata, po upływie których powinna było dostać ów milion dla niej przeznaczony, gdyby Nora nie wyszła za mąż po raz drugi.

Ale czemu by Nora nie miała iść za mąż? Kochała przecież doktora Darby i mogła teraz dowolnie rozporządzać swoją ręką! Lola wiedziała, że Alfons i Robert układają znowu plany w celu usunięcia Nory i zagarnięcia całego jej majątku, i —milczała. Nie mogła wprawdzie przeszkodzić im w wypełnieniu ich krwawych zamiarów, ale obawiała się nędzy, i dla tego udawała, że się niczego nie domyśla.

I tak żyła cicho na wsi, z jedną tylko służącą i oszczędzała jak mogła, pieniądze, aby dać je potem Alfonsowi, który prawie co tydzień przyjeżdżał i znaczne z niej wyłudzał sumy.

Z czasem zaczęła się jednak Lola nudzić. Przyzwyczajona do życia wielkomiejskiego, rozkoszowała się z początku ciszą wiejską, ale potem opanowała ją jakaś dziwna tęsknota za wrzawą uliczną i za ruchem, i chcąc się chociaż trochę rozerwać, kupiła sobie konia i maleńki powozik i całemi godzinami jeździła po sąsiednich polach i lasach. Sprawiało jej to niezmierną przyjemność. Powoziła naturalnie sama, koń, młody i silny, pędził jak szalony, i nawet niebezpieczeństwo, na jakie się czasem narażała, miało dla niej pewien urok. Po każdej takiej przejażdżce czuła się swobodniejszą i nie tęskniła już tak bardzo za Paryżem.

Najgorzej wyszedł na procesie Nory sędzia śledczy, pan Anatol Latour. . Uniewinnienie oskarżonych było ciężką dla niego klęską. Był on tak mocno przekonany o winie Nory i Lucyana, że omyłka, jaką popełnił, upokorzyła go niezmiernie w przekonaniu własnem i jego przełożonych. Że jednak był człowiekiem zacnym i uczciwym, przyznał się sam otwarcie, że niepostępował bezstronnie, że nie zważał na mnóstwo drobnych, a jednak ważnych szczegółów, i że z góry uprzedził się niesłusznie do oskarżonych. To też teraz nie miał innego życzenia, jak wynalezienie rzeczywistych morderców i naprawić to, co swoim uporem zepsuł. Lecz nie mówił o tem do nikogo, postanowił tylko działać na własną rękę i użyć całej swej energii na przeprowadzenie tego planu.

Tymczasem zwrócił główną uwagę na sprawę biednego niemego chłopca w szpitalu św. Antoniego. Tu była także jakaś tajemnica, ale i tu niestety nie powodziło mu się tak, jak sobie tego życzył. Lekcye, dawane chłopcu przez nauczyciela głuchoniemych, trwały już przeszło dwa tygodnie, chłopiec uczył się bardzo pilnie i skorzystał już tyle, że za kilka dni mogło się odbyć badanie jego. Wszystko już do tego było przygotowane, gdy nagle wróciła mu się gorączka z taką gwałtownością, że doktorzy oświadczyli, że przed upływem kilku tygodni ani mowy o dalszej nauce być nie może.

Pan Latour był w rozpaczy, lecz musiał cierpliwie czekać.

ROZDZIAŁ 3.

Najwięcej lubiła Lola jeździć wzdłuż brzegów Marny. Przejeżdżała zwykle przez most, skręcała na drogę wiodącą do półwyspy, i wracała przez Champigny do domu. Przestrzeń tę przebywał koń jej w szalonym biegu, a im bliżej był domu, tem szybciej pędził. Miszkańcy wsi okolicznych i rybacy, którzy widywali codziennie przejeżdżającą Lolę, przepowiadali jej, że czy prędzej, czy później spotka ją jakie nieszczęście. Niektórzy radzili jej nawet szczerze, aby się pozbyła tego dzikiego i upartego konia, ale ona mówiła, że właśnie taka szalona jazda przyjemność jej sprawia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Przed 75-u laty.

(Wspomnienie historyczne).

VI.

Bitwa pod Ostrołęką dnia 26-go maja.

O powstaniu 1830 i 1831 r., a szczególnie o wielkich błędach wodzów i jenerałów, możnaby tomy pisać.

Skrzynecki popełnił błędy do niedarowania. Mógł był znieść korpus gwardyi, w której się znajdowało pełno książąt, hrabiów i szlachty — słowem młodzież najznakomitszych rodów rosyjskich. Przez opieszalstwo Skrzyneckiego korpus ten ocalał. Nie zaniósł też pomocy wojskowej braciom naszym w prowincyach zabranych, dopiero po niewczasie posłał jenerała Chłapowskiego na Litwę, który połączył się następnie z Giełgudem, odciętym od głównej polskiej armii. Chłapowski i Giełgud nie mogli się utrzymać na Litwie, prześli zatem granicę pruską. Giełgud został za to zastrzelony, o mały włos nie spotkało to i Chłapowskiego.

Wpuścił też Skrzynecki Moskali na lewy brzeg Wisły, przez co odjął powstaniu źródło pomocy. Nakoniec popełnił błąd wielki, przyjmując w niekorzystnem miejscu bitwę pod Ostrołęką.[1]) Moskale mieli bardzo silne stanowisko, z którego armatami walili potężnie w polskie szeregi. Polskie wojsko biło się walecznie, ale cóż pomogą najwaleczniejsze wysilenia, gdy się idzie na śmierć niechybną. — Skrzynecki pchał bataliony po batalionach na morderczy ogień działowy, oczywiście, że dzielne zastępy marnie ginęły. Wódz naczelny w końcu stracił niejako przytomność umysłu. Zapominając, że jest wodzem, chwycił za karabin i chciał iść na Moskali, wstrzymał go jeden z oficerów mówiąc: „My potrzebujemy wodza, żołnierzy mamy dosyć.“ Przy moście na rzece Narwi panował taki zacięty bój na bagnety, że przez kilka godzin woda Narwi była zupełnie czerwoną od spływających krwi potoków. Tu taka panowała ciasnota, że żołnierze, nie mogąc użyć bagnetów, zabijali pięściami Moskali. — Byłoby polskie wojsko poniosło straszniejszą klęskę, gdyby nie jenerał Bem, który swą artyleryą powstrzymał Moskali. Padło pod Ostrołęką około 8000 walecznych polskich żołnierzy, oficerów 270, polegli dwaj jenerałowie Ludwik Kicki i Henryk Kamieński, jenerał Krasicki zabrany do niewoli, 3 działa stracone. I Moskale stracili do 8000 żołnierzy. Była to zatem krwawa, nadzwyczaj morderczą, 12 godzin trwająca bitwa, którą A. K. Puzyrewskij w swem dziele pod tytułem: „Wojna polsko-ruska 1831 roku“ tak opisuje:



Adam książę Czartoryski,

syn Adama Kazimierza, generała ziem polskich, ur. 14-go stycznia 1770 r., ukończył studya uniwersyteckie w Anglii, brał udział w powstaniu Kościuszkowskiem, potem jako zakładnik wyjechał do Petersburga. Tu zaprzyjaźnił się z ks. Aleksandrem, został jego adjutantem, później ministrem spraw zagranicznych (do r. 1867) i kuratorem naukowych zakładów polskich (do 1820 r.) W 1830 r. po wybuchu powstania był prezesem rządu tymczasowego, aż do objęcia przez Krukowieckiego dyktatury, poczem wstąpił jako prosty żołnierz do korpusu Ramorina. W 1848 r. uwolnił chłopów w swoich dobrach Sieniawa od pańszczyzny. Aż do swej śmierci (15 lipca 1861 r.) mieszkał w Paryżu, gdzie oddawał się pracy literackiej i opiekował się sprawami Polski i emigracyi. Książę Czartoryski należy do najwybitniejszych postaci swego czasu; był to znakomity mąż stanu, wzorowy obywatel i gorący patryota, poświęcający całe życie na usługi swej Ojczyzny.

Ostrołęka stanowiła punkt węzłowy dróg głównych, leżących między Bugiem a Narwią. Oprócz drogi bitej Kowieńskiej, zbiegały się tam drogi z Czyżewa, Ostrowa i Goworowa. Szosa ta nadto stanowiła komunikacyą między Ostrołęką a północną częścią województwa Augustowskiego; droga z Czyżewa, dając od siebie dwie jeszcze gałęzie, stanowiła połączenie ze wszystkimi punktami głównymi obwodu Białostockiego; droga przez Ostrów prowadziła z Ostrołęki do województwa Podlaskiego; wreszcie droga przez Goworowo łączyła Ostrołękę z Serockiem, Wyszkowem i Brokiem, czyli z głównemi przeprawami na dolnym Bugu. Wszystkie te drogi, zmierzając ku Ostrołęce, zbliżają się do siebie, tak, że w odległości 10 wiorst od niej biegną jednym prawie szlakiem, nie oddalając się więcej od siebie, jak na 2 do 5 wiorst — mianowicie dwie pierwsze (z Czyżewa i Ostrowa), począwszy od Troszyna, idą od siebie równolegle prawie. Na prawym brzegu Narwi od szosy oddziela się jedna tylko droga na Myszyniec ku granicy pruskiej, sama zaś szosa, stanowiąc początkowo przedłużenie mostu, w odległości 110 sążni od brzegu rzeki zwraca się ostro, prawie prostopadle na lewo ku południowi i biegnie wzdłuż brzegu z biegiem rzeki, tworząc na pewnej długości nasyp parołokciowy. O 150 sążni od zwrotu przecina ją niewielki strumień, o dwie zaś wiorsty dalej rzeczka Omulew, która, zbliżając się stąd ku Ostrołęce, wpada do Narwi o wiorstę od miasta. Powyżej niego Narew szeroka jest na 30 sążni, poniżej — na 20 sążni, pod samem zaś miastem, gdzie znajduje się dużo drobnych, niskich wysepek, koryto jej rozszerza się więcej jak na 100 sążni, prąd rzeki jest bystry, a głębokość znaczna; pod samem miastem tworzy ona zakręt niewielki, który sprawia, że brzeg jej lewy góruje nieco nad prawym. Oprócz stałego przez rzekę mostu na palach, długości około 120 sążni, poniżej jego o 50 sążni znajdował się jeszcze most drugi, pływający. Brzegi rzeki wogóle niskie; z jednej jej strony otacza Ostrołękę kilka tylko piaszczystych pagórków, a z nich jeden tylko znaczniejszem odznacza się wzniesieniem; z drugiej zaś strony, oprócz niewielkich również piaszczystych wyniosłości wzdłuż drogi myszynieckiej, odległych na wiorstę od mostów, nie ma innych wzgórzy w pobliżu. Miejscowość na lewym brzegu Narwi, będąca głównem polem walki, przedstawiała podłużny czworobok, utworzony z jednej strony przez Narew, z drugiej przez przeciwległe wyżej wymienione pagórki, z trzeciej przez rzekę Omulew, z czwartej wreszcie przez niewielki bagnisty strumień, wpadający do Narwi. Przestrzeń w

[1]) Ostrołęka, miasto powiatowe w gubernii Łomżyńskiej nad rzeką Narwią.

ten sposób ograniczona obejmowała nie więcej nad 3 wiorsty kwadratowe, czyli 2 wiorsty długości i 1 i pół szerokości po środku. Wznosi się ona zlekka ku zachodowi, przyczem pagórki piaszczyste, ograniczające pole bitwy w tym kierunku, pokryte były małymi i rzadkimi krzakami, za którymi leżał las, przecięty drogą myszyniecką. — Przestrzeń między pagórkami a Narwią była niziną, poprzerzynaną smugami bagien, niewielkimi strumykami i rozlewami Narwi, trudno dla jazdy dostępnymi.

Samo miasto Ostrołęka, rozłożone na lewym brzegu Narwi, miało podówczas 177 domów, przeważnie drewnianych i 1500 mieszkańców; dwie ulice główne wiodły ku mostom w prostym kierunku, rynek obszerny otoczony był w części domami murowanymi, na północnym zaś jego końcu stał kościół Bernardynów, obwiedziony murem i stanowiący silne schronienie. Polacy wszakże, skutkiem szybkiego nadejścia Rosyan, nie zdążyli skorzystać z dogodności punktu tego dla tych zaczepno-obronnych celów, jakie ujawniły się w ich działaniach. Ulice miasta słabo były zabarykadowane, na szańce zaś wokoło miasta, usypane poprzednio przez Sackena, nie zwrócono wcale uwagi.

Skrzynecki, posiadając armię i liczebnie i duchowo ustępującą połączonym siłom Dybicza i gwardyi, nie mógł myśleć chyba o czynnej obronie: wszelako ostrołęckie pole bitwy w położeniu jego przedstawiało wiele danych do obrony biernej; skupiwszy się tu i zburzywszy mosty, mógłby on znosić częściowo przeprawiające się ruskie wojska, a tym sposobem utrudnić dla nich niesłychanie a może przeprawę niemożliwą nawet uczynić na tym punkcie. Tymczasem stało się zupełnie przeciwnie. Skrzynecki, nie spodziewając się, jak się okazało, tak szybkiego nadejścia armii ruskiej, pozostawał z wojskami swemi między Czerwinem, Kleczkowem i Troszynem do samego prawie wieczora 25-go maja. Kiedy Bistrom z kawaleryą gwardyi od strony Śniadowa, a Dybicz z kolumną hr. Pahlena od strony Szumowa podchodzili już prawie pod same leże jego straży tylnej, stojącej przed Nadborami i Gosterami, to wtedy wydał on zaledwie rozkaz wojskom swoim cofania się ku Ostrołęce i przechodzenia na prawy brzeg Narwi. O dywizyi Giełguda, znajdującej się w Łomży, w popłochu zapomniał całkowicie; Łubieński z tylną strażą pozostawał na lewym brzegu Narwi o 5 wiorst od Ostrołęki, pod wsią Rzekuniami, a wzmocniony jeszcze został 7 batalionami brygady Bogusławskiego.

Skrzynecki nie miał określonego dalszych działań planu. Nie wątpił zresztą, że miasto i mosty utrzymać można będzie, rzekę zaś uważał za niezwalczoną przeszkodę, wyłączającą wszelką możliwość przeprawy otwartą siłą. Niemniej wszelako wieczorem 25-go maja udał się do Prądzyńskiego z zapytaniem, co robić z mostami. — Prądzyński zwracał uwagę na niepodobieństwo ich zniszczenia, gdyż na tamtej stronie rzeki znajdowało się jeszcze dużo wojsk polskich; niepodobna było też liczyć prawie na niedostanie się ich w ręce Rosyan, którzy zapewne, idąc tuż w ślady za cofającymi się, przeszkodzą zburzeniu tych mostów. Był wszakże przekonany o możliwości pobicia (jeśli się tylko skorzysta z dogodnej pozycyi) tej części armii ruskiej, jaka się przeprawi. Projektował on, ukrywszy wojska w krzakach, razić przeprawiających się wystrzałami, a następnie przez silny z kilku stron napad odrzucić w Narew, przyczem z powodu ciasnoty miejsca Rosyanie nie będą mogli ani się rozwinąć, ani znacznych sił użyć, mianowicie jazdy. Uspokojony całkowicie Skrzynecki, nie spodziewając się nazajutrz bitwy i licząc na powolność ruchu Rosyan, odjechał do miasteczka Kruków, pozostawiając Prądzyńskiemu wydanie odpowiednich rozporządzeń, — sam zaś spędził noc w zajeździe, pocieszając się szampanem. Prądzyński rozstawił wojska na polu bitwy ostrołęckiem w następującym porządku: dywizya piesza 1-sza i 3-cia stanęły ukryte na wzgórzach piaszczystych, w krzakach, naprzeciw Narwi, przyczem dywizya pierwsza stanęła na prawo, nieco dalej niż pagórek, porosły lasem i krzakami; na pagórku tym stanęło 10 dział bateryi Turskiego; Bielicki z 12 działami wysunięty został ku mostowi, a baterya Nejmanowskiego ustawiona przed prawem skrzydłem wojsk dla podtrzymania odwrotu straży tylnej Łubieńskiego, poczem baterya ta, jak również i baterya Bielickiego winny były cofnąć się na wspólną linię szyku bojowego, Bielickiemu zaś kazano stanąć obok bateryi Turskiego, gdzie, jako na punkcie najważniejszym, byłyby zebrane 22 działa doskonale osłonięte krzakami, a zarazem i należycie ustawione dla ostrzeliwania nietylko mostów, ale i miasta. Jazda z powodu niedogodnej miejscowości pola bitwy, była z początku odesłana za Omulew, tak dla odpoczynku, jak i do strzeżenia Narwi do Różan, dokąd wyprawiono parki rezerwowe i tabor wojenny. [2])



Ułan polski z 1831 r.

Straż tylna Łubieńskiego, złożona z jego dywizyi jazdy pieszej Kamińskiego, z brygady Bogusławskiego i pułku weteranów, wyznaczonych dla podtrzymania straży tylnej, pozostała na lewym brzegu Narwi, o 5 wiorst od Ostrołęki. Po starciu pod Jakaciem i Gosterami Łubieński w nocy cofnął się przez Troszyn i zajął pozycyę między Rzekuniami i Ławami. Na lewem jego skrzydle znajdowało się 6 batalionów i 10 dział, których pozycya pod

[2]) Prądzyński, Chap. V.

Ławami osłonięta była niewielką bagnistą rzeczką; 4 bataliony i 6 dział stanęły na prawem skrzydle, przed samem wyjściem z lasu Zamościa; 2 bataliony i 4 działa tworzyły ogólną rezerwę za środkiem. Jazda drugą twopolska panowała nad obiema drogami, któremi nadchodzili Rosyanie, przez Susk i Zamoście. Niebezpieczeństwo pozycyi Łubieńskiego polegało na tem, że ze słabszemi siłami był nadto wysunięty naprzód i dostawszy się pod cioka, kiedy około 9-tej rano przez Zamoście i Susk nadeszła ruska straż przednia, za którą tuż cała postępowała armia, a mianowicie: Nabokow z 3-cią dywizyą grenadyerów, 20 działami i pułkiem kirasyerów księcia Alberta;



J. Perez. **Po bitwie.**

rzyła linię. Bliżej ku Ostrołęce ustawioną była brygada Bogusławskiego, która wraz z pułkiem weteranów, stojącym między drogą troszyńską a łomżyńską szosą, miała za zadanie wspierać Łubieńskiego, przyczem pułk 4-ty liniowy wysunięty był wzdłuż drogi łomżyńskiej, 8-my zaś stał pod Ostrołęką. Obrana przez Łubieńskiego pozycya obok wielu niedogodności tę przedstawiała korzyść, że straż tylna sy armii ruskiej, działającej z niesłychaną gwałtownością i energią, miał za sobą wązkie przejście i nie mógł być poparty przez główne siły, chociaż o godzinie 7-mej rano 26-go maja odebrał rozkaz Skrzyneckiego, aby bronił stanowczo swej pozycyi, gdyż na wypadek silnego naporu nieprzyjaciela przez całą armię poparty zostanie. Zaledwie Łubieński dokończył wszelkich przygotowań na spotkanie przeciwnika... następnie Łopuchin z trzema pułkami 1-szej dywizyi huzarów i 12 działami; dalej Manderstern z 1-szą dywizyą pieszą i 8-miu działami; za nim 3-cia dywizya piesza Szkuryna z 10 działami; nakoniec rezerwa artyleryi, huzarzy grodzieńscy, reszta 2-giej dywizyi grenadyerów, pułki piesze gwardyi Litewski i Wołyński, oraz kirasyerzy nowogrodzcy z odpowiednią artyleryą; pochód zamykały: 1-sza dywizya

grenadyerów i 1-sza brygada dywizyi kirasyerów. Feldmarszałek znajdował się przy straży przedniej.

Rano 26-go maja o godzinie 6-tej Bistrom z lekką kawaleryą gwardyi (strzelcy konni, ułani, dragoni) minął już Troszyn i znajdował się na wysokości wsi Zamościa i Janowa, o 13 wiorst od Pisków, a o 9 wiorst od Ostrołęki. Patrole kozackie doniosły, że las najbliższy zajęty jest przez Polaków, za lasem zaś dają się widzieć znaczne siły nieprzyjacielskie w szyku bojowym. Wskutek tego Bistrom kazał hr. Nostitzowi z lekką jazdą gwardyjską i dwiema bateryami konnemi okrążać las z prawej strony drogą na Janochy i Susk, idącemu zaś za nim Bergowi z pułkiem karabinierów i Jekaterynosławskim grenadyerów posuwać się naprzód przez las środkową od Zamościa drogą. Bezpośrednio za strażą przednią postępowała 3-cia dywizya grenadyerów, stanowiąca czoło kolumny hr. Pahlena 1-go. Dybicz, mając zamiar skierować atak główny na prawe skrzydło nieprzyjacielskie, aby zepchnąć Polaków na szosę łomżyńską i przyprzeć do Narwi powyżej Ostrołęki, rozkazał 1-szą brygadę 3-ciej dywizyi grenadyerów (pułki: Sybirski i Rumiancowa) wysunąć na drogę lewą, idącą na Goworowo, resztę zaś wojsk ściągnąć średnią drogą przed lasem. Szerokość lasu tego nie przenosiła wiorsty; wzdłuż skraju jego ku Ostrołęce przepływa strumień bagnisty, przecinający drogę i wpadający do rozległego bagna między drogą środkową a prawą. Jak wyżej wskazanem było, prawe skrzydło nieprzyjacielskie, dotykając wsi Rzekunie, znajdowało się mniej — więcej o wiorstę od lasu, ale skraj jego wzdłuż strumienia obsadziło gęstym łańcuchem strzelców, baterya zaś była przy drodze tak ustawiona, że najbliższą część lasu ostrzeliwać mogła kartaczami. Kiedy gener. Berg zbliżył się do strumienia, to spotkany został ogniem karabinowym i kartaczowym. Wojska jego uszykowane były w następującym porządku: batalion 3-go pułku karabinierów posuwał się w kolumnach rotowych, przyczem jedna kompania z dwoma działami pozycyjnemi szła głównym gościńcem, dwie drugie na prawo i na lewo, czwarta zaś, rozsypana w tyraliery, znajdowała się na przodzie; za batalionem tym szedł drugi batalion tegoż pułku, a za nim pułk Jekaterynosławski grenadyerów. Rozpoczawszy bój czołowym batalionem karabinierów i 2-ma działami, Berg wysunął pułk Jekaterynosławski na prawo, polecając dowódcy pułku, Reizensteinowi, przejść z jednym batalionem strumień poniżej, żeby znajdującego się tam nieprzyjaciela obejść z lewej strony; ale Reizestein, wziąwszy się zbyt na prawo, trafił na wielkie bagna i nie mógł przebyć strumienia. Ogień wzmagał się ze stron obu i jakkolwiek grenadyerzy silnie nacierali, Polacy dzielnie się trzymali. Wtedy Berg, wybrawszy miejsce dla przejścia przez potok, sam poprowadził drugi batalion Jekaterynosławskiego pułku, jednocześnie zaś hr. Pahlen kazał Nabokowowi z 3-ma batalionami brygady karabinierów 3-ciej dywizyi grenadyerskiej poprzeć ruch Berga naprzód. Parcie 7-miu batalionów zmusiło przednie szeregi prawego skrzydła Polaków do cofnięcia się na główną pozycyę pod Rzekuniami.

Hr. Nostitz, posuwając się drogą z prawej strony, spotkał przodowe oddziały jazdy nieprzyjacielskiej pod Suskiem, natarł na nie ułanami gwardyi, odparł i ruszył następnie ku Ławom, gdzie spotkany został ogniem 10-ciu dział, przeciw którym wysunął natychmiast również 10 dział swoich, i te wkrótce wzięły przewagę nad polskiemi. Ponieważ do nieprzyjaciela podejść można jedynie było po długim moście drewnianym, prowadzącym przez bagnisty strumień, więc hr. Nostitz wysłał pułk strzelców konnych gwardyi drogą na Jaworki dla obejścia lewego skrzydła Polaków, sam zaś z ułanami zamierzał rzucić się przez most: ale nieprzyjaciel zaczął się cofać ku Ostrołęce. Tymczasem 1-sza brygada 3-ciej dywizyi grenadyerów, skierowana drogą lewą, również las minęła i szybko posuwała się ku wsi Tabolicy, okrążając prawe skrzydło całkowitej pozycyi straży tylnej polskiej. Za nią Dybicz posłał całą piechotę 1-go korpusu. Łubieński, widząc grożące mu niebezpieczeństwo, zaczął się cofać ku Ostrołęce bez wszelkiego oporu prawie. Rosyanie ruszyli za nim w porządku następującym: drogą środkową szedł Nabokow z brygadą karabinierów (pułk 5-ty i 6-ty; — ostatni w składzie jedno-batalionowym) i 2-ga (pułk Suworowa i Astrachański) 3-ciej dywizyi grenadyerów; na prawem skrzydle hr. Nostitz po naprawie mostu pod Ławami skierował pułk ułanów gwardyi prawą drogą, z pułkiem zaś dragonów gwardyi i 4-ma działami wyszedł na lewe skrzydło Nabokowa i związał kolumnę jego z kolumną, idącą lewą drogą ku Tabolicy. Berg, zebrawszy piechotę oddziału swego i ściągnawszy do siebie z za lasu pułk Łubeński huzarów i kirasyerów księcia Alberta pruskiego, postępował za ruchem ogólnym ku wsi Wypychom; za nim posunęła się potem jazda kolumny hr. Pahlena 1-go, to jest trzy pułki 1-szej dywizyi kirasyerów i trzy pułki 1-szej dywizyi huzarów.

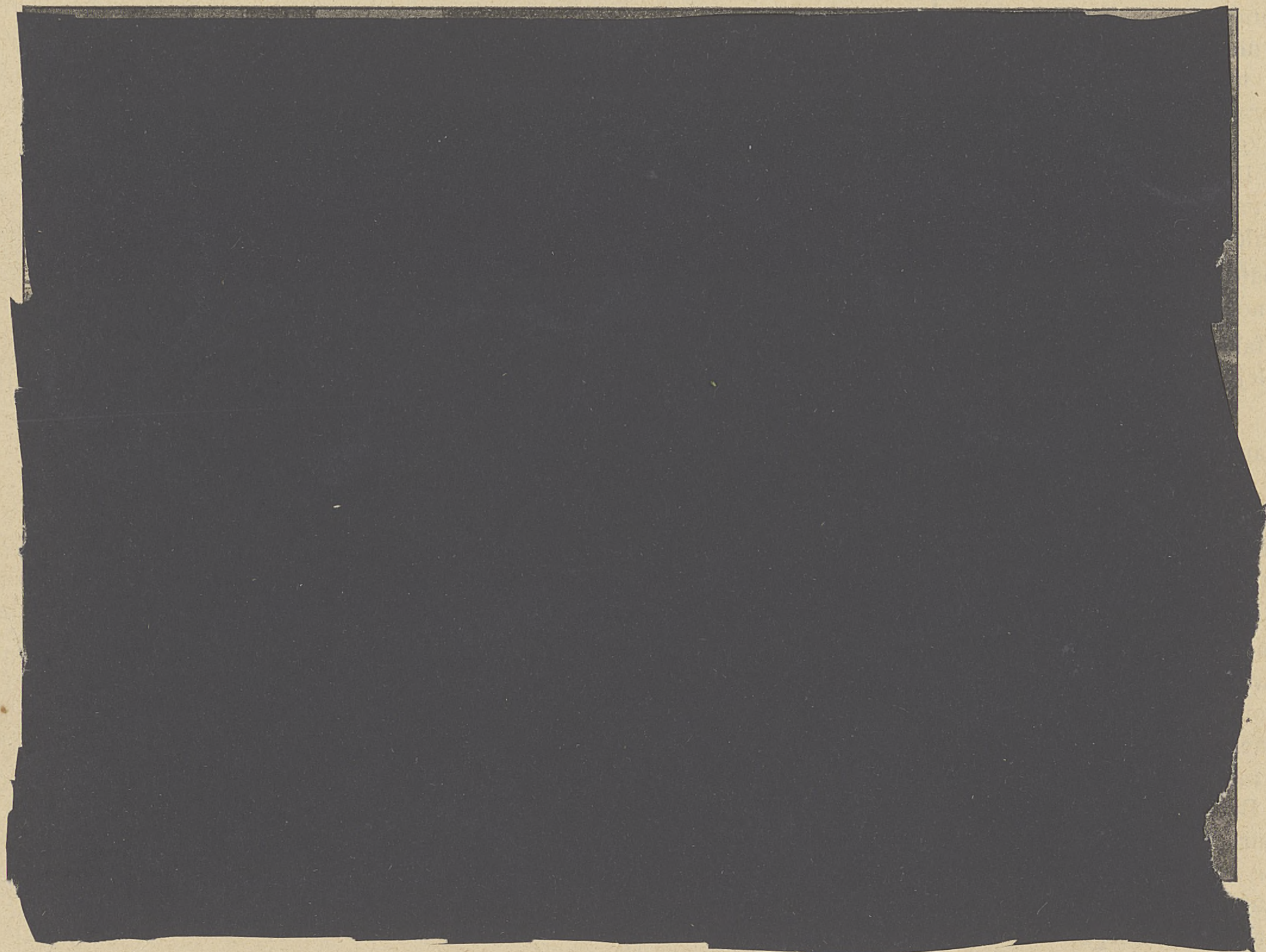
W takim porządku wojska ruskie zbliżały się do Ostrołęki dnia 26-go maja o godzinie 11-tej z rana, po nieprzerwanym prawie 32-godzinnym marszu, przeszedłszy w ciągu doby wiorst przeszło 70, zachowując wzorowy porządek, dzielność ducha i gorącą żądzę spotkania się z niepochwytnym wrogiem.

Rosyanie przypuszczali, że Łubieński, mając poza sobą wązkie przejście, nie będzie uporczywie bronił Ostrołęki, lecz przejdzie na prawy brzeg Narwi, zniszczywszy za sobą mosty — że Polacy następnie całemi siłami będą przeszkadzali przeprawie naszej armii; tymczasem Łubieński zapragnął skorzystać z piaszczystych wzgórzy, otaczających półkolem miasto, i rozstawił na nich piechotę swoją oraz kilka bateryi artyleryi, jazdę zaś i część dział zdążył przeprawić przez Narew. Skrzynecki, sądząc z dawniejszych operacyi, nie spodziewał się po ruskim główno-dowodzącym takiej energii i bystrości w działaniach, jakie ujawnił w danym razie, i dlatego w głównym obozie polskim panował spokój zupełny; konie były rozsiodłane, piechota po większej części rozpierzchła się za szukaniem drzewa, wody lub kąpieli. Skrzynecki polecił Prądzyńskiemu zająć się przejrzeniem nagromadzonych w ogromnej ilości niezałatwionych papierów, z którymi pomocnik szefa sztabu nie umiał dać sobie rady, — przyczem naczelny wódz orzekł, że armia jego, osłonięta rzeką, może liczyć na spokój przez czas pewien, co zaś do niezbędnych rozporządzeń ze względu na obronę Ostrołęki, na odwrót Łubieńskiego, jak niemniej i na podtrzymanie go w razie natarcia Rosyan — brał wszystko na siebie. Kiedy o 9-tej rano dała się słyszeć kanonada na lewym brzegu Narwi, Skrzynecki nie zwrócił na nią uwagi, ani chciał dać wiary w obecność samego Dybicza w pobliżu. Szczupłość straży przedniej ruskiej pod Nurem, oraz w dniach następnych, utrzymywała go w przekonaniu, że siły ruskie jeszcze się nie połączyły. Twierdzenie nakoniec pewnego obywatela, przybyłego w przeddzień z okolic Czyżewa i oświadczającego, że tam słabe tylko ruskie pokazały się oddziały i nic nie słychać o feldmarszałku, ostatecznie utwierdziło go w przypuszczeniu, że główne siły ruskie dalekiemi są jeszcze od Ostrołęki. [3])

Tymczasem wojska nasze około

[3]) Prądzyński. Chap V.

10-tej rano zbliżały się do pozycyi Łubieńskiego. Feldmarszałek dał rozkaz dowódcy artyleryi armii, ks. Gorczakowowi, uciszyć baterye nieprzyjacielskie; samo miasto kolumna środkowa atakować miała, znajdująca się zaś na lewem skrzydle 1-sza brygada 3-ciej dywizyi grenadyerów skierowana była we wsi Pomiany ku lasowi, leżącemu na brzegu Narwi dla zabezpieczenia posuwania się armii naprzód. Książę Gorczakow, wyprowadziwszy 16 dział czasem 2ga brygada 3-ciej dywizyi grenadyerów (pułk Suworowa i Astrachański), idąc pod dowództwem nieustraszonego Martynowa za karabinierami, ruszyła także przez głębokie piaski do szturmu miasta batalionowemi kolumnami z gęstym łańcuchem tyralierów i podczas, kiedy karabinierzy opróżniali południową część jego od nieprzyjaciela, pułki te bez wystrzału, z bronią na ramieniu, wpadły do miasta wprost gościńcem, A- naszych żołnierzy. Bogusławski cofał się ku mostowi, ale odwrót miał już tu przecięty w części, tak, że ze stratą tylko około połowy swych ludzi po zaciętym i krwawym ręcznym boju zdołał przebić się na brzeg przeciwległy, gdzie przy współudziale bateryi Bielickiego starał się przeszkodzić przeprawie Rosyan. Słynny pułk 4-ty należący do jego brygady, nigdzie ostać się nie mógł i ucierpiał wielce. Pułk ten wraz z batalionem weteranów



przysunąwszy je z prawej strony do ciu dział, ustawionych przez hr. Nostitza, a z lewej do 4-ch dział hr. Pahlena 1-go, temi 26 działami zaczął prażyć Polaków. Artylerya nieprzyjacielska wkrótce uległa rozstrojowi i zaczęła schodzić z pozycyi wraz z piechotą dywizyi Kamińskiego; odwrót osłaniał Bogusławski brygadą swoją i weteranami. Nadejście w tym czasie siedmiu batalionów grenadyerów Nabokowa dało możność Gorczakowowi przejścia do kroków zaczepnych. Kazał więc trzem batalionom karabinierów wedrzeć się do miasta na karkach Polaków, co również szybko jak świetnie dokonanem zostało.. Polacy, gwałtownie parci, nie zdążyli zająć odpowiednio miasta i skorzystać z barykad, urządzonych przez generała Paca. Jeden batalion polski został odcięty i częścią wybity, częścią rozproszony lub wzięty do niewoli 280 ludzi z 3-ma oficerami). Tymstrachański z prawej, Suworowa z lewej strony. Pierwszy batalion pułku Astrachańskiego wpadł tu przed innymi, współcześnie z karabinierami. Ani wysiłki Polaków, aby utrzymać się u wejścia w ulice, ani ogień karabinowy z domów, zajętych przez nieprzyjaciela, nic powstrzymać nie mogło pierwszych szeregów grenadyerów. Podczas, kiedy 1-szy batalion Astrachańskiego pułku przechodził przez miasto do mostu i zajmował najbliższe mu domy, drugi batalion tegoż pułku i dwa bataliony pułku Suworowa opróżniły z tyłu leżące budynki, rynek (gdzie je spotkano silnym ogniem karabinowym), cmentarz klasztorny i chwyciły jeńców, przyczem cmentarz udało się zdobyć przy pomocy 2-ch dział dopiero. Podczas szturmu Polacy dawanemi w górę strzałami zapalili domy, stanowiące prawe skrzydło rynku, ale ogień ugaszony został łącznymi wysiłkami pilnował drogi Łomżyńskiej i bronił wyjścia z miasta w tym kierunku; część jego była rozbita, rozproszona i dostała się do niewoli w mieście, część schroniła się za Narew; lecz jeden batalion, znajdujący się za miastem, napierany z rozkazu hr. Nostitza przez pułk ułanów i strzelców konnych gwardyi, był tak przyparty do Narwi, że dosyć było ataku jednego (6-go) szwadronu ułanów, ażeby nikt z niego nie ocalał prawie: jedna połowa broń złożyła, druga zginęła pod szablami ułanów lub w nurtach Narwi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* * *

Objaśnienie planu bitwy pod Ostrołęką,

stoczonej dnia 26-go maja 1831-go r.

(Do ryciny albumowej.)

aa.	brygada Langermana	dywizya Rybińskiego
bb.	„ Mucharskiego	

cc. brygada Bogusławskiego } dyw. Mała-
dd. „ Węgierskiego } chowskiego.
ee. „ Krasickiego } dywizya Ka-
ff. „ Zawadzkiego } mieńskiego.
gg. jazda Skarzyńskiego i Turny.
hh. „ Łubieńskiego.
ii. pułk Astrachański.
kk. „ Suworowa.
ll. 3 bataliony karabinierów pod pułkownikiem Bistromem.
mm. kolumna generała Berga.
nn. pułk Rumiancowa.
oo. 5 batalionów Mandersterna.
pp. pułk Sybirsk[redacted]
qq. gwardya uła[redacted]
rr. gwardya str[redacted]
ss. baterya hra[redacted]
tt. baterya g[redacted] i Gerbela II[redacted]
uu. wzgórze, na[redacted] feldmarszałe[redacted]
vv. 2 działa bate[redacted] liwające mos[redacted]
ww. budynki fabr[redacted] brygada Nejm[redacted] działa.
AA. Pozycya a[redacted]
BB. Nadejście [redacted] skich i z[redacted] gusławski[redacted]
CC. Martynow[redacted] laków z [redacted]
DD. Polski ba[redacted] wyparty w[redacted]
EE. Powrót Pol[redacted]
FF. Pułk Astrac[redacted] most na pa[redacted] z bateryi Bie[redacted]
GG. Pułki Astrac[redacted] usadawiają [redacted] nich zajmu[redacted] kolumna [redacted]
HH. Armia polska wybiega z lasu.
II. Atak Węgierskiego odparty.
KK. Baterya Turskiego zmuszona jest do odwrotu po stracie jednego działa.
LL. Odparty atak Langermana i Mucharskiego.
MM. Odparty atak Krasickiego.
NN. Odwrót bateryi Nejmanowskiego.
OO. Kawalerya Skarzyńskiego i Turny ukazuje się na polu bitwy.
PP. Chwila, w której generał Mandersten z swemi 5 batalionami, zasilony innemi batalionami wojska rosyjskiego, kroczy naprzód i
QQ. naciera na rozsypaną w łańcuch i jednocześnie naprzód kroczącą kawaleryę i piechotę polską.
SS. Odparcie ataków jazdy polskiej.
TT. Ostatni atak Polaków przez naprzód kroczącą bateryę Bema.



Bój pod Ostrołęką,

dnia 26-go maja 1831-go roku.

(*Wspomnienie historyczne.*)

— Precz, ty Dybicz Zabałkański! —
Car zakrzyknął wściekle —
I wyszukał Paszkiewicza,
W swych służalców piekle.

— Precz, ty Dybicz Zabałkański,
Gdyś Lachów nie pobił!
Niech Paszkiewicz robi teraz
Czegoś ty nie zrobił!

[redacted]

Już cię teraz, ty Ojczyzno,
Bronić niema komu!

O ty klęsko Ostrołęcka,
Nieśmiertelna klęsko,
Otwarłaś ty nasze wrota,
Przed Moskwą zwycięzką!

Jan Sawa.

Dwie doby pamiętne w Mińsku.

Rok 1863.

Wiosenny wieczór otulał ziemię. Lekki wietrzyk z pól i gajów zaledwo poruszył zielone gałązki bzów i topoli, niosąc woń czeremchy z pobliskich ogrodów. Błogo i jakby odświętnie i radośnie było w całej przyrodzie. A jednak w tej uroczej chwili jakże odmienne uczucia panowały i jak przeciwny przedstawiał się widok w pośród społeczności mińskiej. Oto, co nam mówi naoczny świadek tej pamiętnej chwili.

„Widzę jeszcze dziś, jak po nieszporach, gdy się już miało ku wieczorowi, tłum nieprzeliczony z wszelkich stanów, wyznań, narodowości, nie wyłączając żydów, zalega ulice i ciągnie ku miejscu jakby czarna chmura. Widzę, jak to wszystko w skupieniu ducha uklękło i otoczyło je z trzech stron, bo z czwartej stał szyldwach z bagnetem. Śpiewają „Anioł Pański“ i „wieczne odpoczywanie,“ a tymczasem czyjaś malutka dziecina zabie[redacted]wieńce i [redacted] jedna z [redacted]a umar-[redacted]ano „Bo-[redacted]ła cisza, [redacted] stłumio-[redacted]niesza [redacted] kłosów [redacted] noc, oto [redacted]wna ró-[redacted] jednem [redacted]dziwnem [redacted]milczący, [redacted]...“ [redacted] Mińsku [redacted] na gro-[redacted]to to wi-[redacted]jakby na [redacted]oficerów, [redacted]ając ba-[redacted]ch, nie-[redacted] straco-[redacted]jąc ko-[redacted] tawiono [redacted] nie [redacted]zem i potrafię spojrzeć w oczy śmierci.

To były jego ostatnie słowa.

Rzuciło mu do dołu wiązankę kwiatów, przedarłszy się przez szeregi wojska, jakieś dziewczę ze wsi Połonnej...

* * *

Takie piegrymki odbywały się codzień. Dla czego ich nie broniono? Odpowiedź łatwa. Dawały one sposobność szpiegom spisania wszystkich, co w nich udział brali. A gdy to już było zrobione, gdy uwięziono mnóstwo osób, lub jeśli to byli żydzi, obłożono sztrafami; gdy mężowie żon, noszących żałobę, zostali wydaleni ze służby, lub wywiezieni w głąb Rosyi, ogłoszono rozkaz, wzbraniający wszelkich patryotycznych objawów. Zasadzka już była niepotrzebna.

Rok 1906.

W tym pamiętnym roku, gdy nam zabłysła zorza lepszej doli, *mecenas A. Lednicki* wśród zebranej tłumnie

publiczności w Mińsku taką wypowiedział mowę:

„Stoimy w przededniu chwili dziejowej wielkiego przełomu w historyi. Karta życia naszego już się przewraca... Na stare miejsce zapewne nigdy nie wróci...

I dziś, idąc do walki wyborczej, idąc w imię naszej nowej przyszłości, badawczem okiem przenikając zasłonę, co przyszłość przed nami zakrywa, mimowoli przypominamy sobie przeszłość naszą, przeszłość mroczną, a pełną jęków i niewoli boleści i cierpień.

Tu w Mińsku jam chodził do szkół, tu właśnie uczyłem się w dzieciństwie protestu ducha przeciwko gwałtom, przeciwko spaczaniu i skoszlawieniu młodocianej duszy naszej.

Wszak kiedy w przeszłość naszą zaglądam, to widzę, jak dziś, to wielkie bezprawie, co prawem się zwało, ten zakaz mowy ojczystej — co w sercu naszem budził już nadzieję, dziś ziszczające się mimo wszystko, mimo wysiłki ustępującej możnowladczej biurokracyi, że nadejdzie chwila, w której w rodzinnem swojem mieście, po polsku do was będę przemawiał.

Mowa polska! Ty piękny języku wieszczów naszych, coś zewsząd był wygnany, którym mówić nam publicznie nie wolno było, a dziś w nim tu do siebie znowu jawnie przemawiamy!

Z tej wielkiej jamy, do której słońce wolności w ciągu lat tylu nie zaglądało, i teraz jeszcze dochodzą jęki dzwonów kościelnych, dzwonów świątyń naszych, przez gwałt zamkniętych, a do tej pory dla nas milczących.

Gdzież nietykalność osobista? — Gdzież wolność słowa, za które bez prawa i sądu do więzień wtrącają naszych mówców i pisarzów? — Gdzie wolność zgromadzeń i związków, co lud w organizacyę silną przetworzy, uświadomi i da tę moc spoistości, o którą będą się rozbijały gwałty i ucisk, jak o granit fale wzburzonego morza!

Litania skarg naszych i nieszczęść jest wielka i długa. Wszystkiegośmy już doznali... O niczem nie mamy mówić: „zachowaj nam Panie“, „zachowaj na przyszłość“, bo my wszystko to, co mieli w przeszłości — mamy i w teraźniejszości.

Możemy tylko wołać: wybaw nas, wyzwól z tego padołu nędzy i łez!

Silni wiarą w siły swoje, w moc ducha ludzkiego i w potęgę idei sprawiedliwości i postępu, śmiało kroczymy w szeregach walczących o lepszą dolę. Naszem hasłem jest równość wszystkich, bo nie ma wolności bez równości. Trzeba raz na zawsze skasować, przywileje, pozostawiwszy li tylko jeden przywilej kultury wolnej, niezależnej.

Pod znakiem idei demokratyzmu, powołującego najszersze warstwy ludowe do pracy nad własnem dobrem, nad ustrojem politycznym, będziemy szli naprzód, dążąc do wytkniętego celu.



A. Baur. **Daniel w jaskini lwów.**

My się domagamy nie tylko ustroju konstytucyjnego, lecz i parlamentarnego. Odpowiedzialnosc władz, od najniższych do najwyższych, przed reprezentacyą narodową, prawo dla naszych przedstawicieli inicyatywy prawodawczej, prawo budżetu i interpelacyi, oto w krótkich słowach to, o co walczyć w dobie obecnej należy.

Stojąc na stanowisku równouprawnienia wszystkich ludów, my ze wstrętem odwracamy się od tej kliki ludożerczej, która jad nienawiści rasowej i plemiennej radaby w nas zaszczepić.

Ci, co wiekami współżycia z nami złączeni, ci, co do taczki niewoli tak samo przykuci, w wielkiej chwili odrodzenia znowu widmo pogromu ujrzeli... Lecz polskiego imienia nie splami krwawy i niecny udział w pogromach żydowskich.

My dłonie braterskie wyciągamy do wszystkich, co z nami walczyć zapragną, by za wyzwoleniem włościan wyzwolenie ludów nastąpiło.

Nie tylko wszyscy ludzie są równi...

I ludy jako jednostki zbiorowe, jako masy, czynnik kultury zawierające, są także równe.

Na naszym sztandarze wielkiemi

literami stoi, pokój społeczny — pokój międzynarodowościowy. A słowa te krwawemi zgłoskami zapisały się w sercach tych, którzy postęp prawdziwy, którzy kraj swój szczerze umiłowali.

Witajcie nam ci, którzy kamień węgielny, a choćby tylko małą cegiełkę pod ten nowy gmach podłożyć pragniecie! Witajcie ci, którzy podążycie jutro do urn wyborczych!

Lecz nie wszyscy tam pójdziemy jednomyślnie. Staną w poprzek drogi naszej ci, co za starą przeszłość jeszcze się czepiają, co w niej dobrobyt i szczęście widzieć pragną.

Staną ci, co w imię przywileju Rosyan nad Polakami i żydami, przywileju władz nad poddanymi — będą z nami walczyli!

Próżne usiłowania! Nowy świat zawsze zwycięży i nic już nie jest w stanie wstrzymać tego upadku z wysokości wielotysięcznej nieprawdy i wszystkiego, co na niej wzrosło i wzmogło się.

Wolność już w nas jest, w nas samych. My w tej chwili wszyscy czujemy, że kajdany niewoli skruszone, że opadły bezpowrotnie! Każdy z nas wie, że wolnym już jest obywatelem kraju własnego! Że spracowana ręka rzemieślnika i włościanina, szlachcica i pracownika myśli, zarówno są powołanemi do samorządnej gospodarki w kraju swoim, że zewnętrzna opoka, która niby lodem ścisnęła cały ruch wolnościowy, dziś prysła pod wpływem palących promieni słonecznych.

Wy mnie i przyjaciela mego Janczewskiego szczytnym i pięknym mandatem obdarzyć pragniecie. Z dumą i w wdzięcznością to wasze zlecenie bierzemy i za jedno ręczymy: że wchodząc do grona wyborców gubernialnych, z pośród których wybór posłów się odbędzie, my o sobie i osobistościach zapomnimy. Nie o ludzi nam chodzi, jeno o ideę i zasady. O piękne imię narodu polskiego, który i stąd swoich wybrańców wszak wyśle.

Przecież to piękna ziemia mińska wysyła swych mandataryuszów! Kolebka Mickiewicza i Syrokomli, miejsce rodzinne Pługa!

Wszakże to na organach tutejszej katedry grał nieśmiertelny Moniuszko!

Tu więc jest to źródło talentu polskiego, ten skarbiec myśli duszy polskiej.

To też obiecujemy wam, że będziemy się starali, aby wybór nasz padł na takich, którzyby nie tylko przeszłości, lecz i przyszłości godnymi byli.

Obywatele miasta Mińska!

Dzień nasz już idzie ku schyłkowi, a z nim się kończy i przeszłość nasza! jutro się zacznie dzień jasny i widny, bo serca nasze już ogniem wolności pałają i nic już nie jest w stanie zagasić tego płomienia.

Nieście na codzień, w dnie pracy zmudnej, ten zapał szlachetny, tę wiarę w przyszłość i siły swoje, twórzcie organizacye wzajemne i wielkim młotem życia wykujcie w ogniu przyszłości stalową duszę polską, co się przed niczem już więcej nie ugnie.

Żegnam was w tej wielkiej, uroczystej chwili. Do jutra! Do urn wyborczych! Do których razem z kartkami naszemi zaniesiemy nasze łzy i cierpienia, nasze niedole i smutki, lecz także i naszą lepszą przyszłość i naszą wiarę i wolność.

Kiedy na falach wzburzonych morza, statek z załogą znękaną próżno szuka ratunku, wówczas, jak głosi legenda ,piraci morscy fałszywe wzniecają ognie, na mieliznę i rafy podwodne kierując statek. I tylko przytomność sternika pozwala rozróżnić ognie prawdziwe od fałszywych.

Nie dajcie się i wy uwieść takim ogniom fałszywym. Pomnijcie, że jedno jest światło, jeden wiecznie jasny i płomienny ogień, to wolność i równość...“

* * *

Że burza oklasków przerywała nierzadko te słowa, przesiąkłe żółcią i łzami, dowodzić chyba nie trzeba, gdy się zważy, że tej miary świetna mowa wypowiedzianą była w języku polskim po raz pierwszy w Mińsku.

Któż nie przyzna w tem zdarzeniu, że głos ten pełen siły i polotu, prawego obywatela, wymownie swiadczy, że siew rzucony przed pół wiekiem na litewską grzędę, nie padł na niewdzięczną rolę i nie zawiódł położonej w nim nadziei; — że śmierć za Ojczyznę pomordowanych tysiąca, z których *Ciundziewicki* był pierwszą ofiarą Murawjewa, podług praw natury i ducha, rodzi nowe życie i nowych za Ojczyznę i prawdę daje bojowników.

E. Pawłowicz.

Do posłów.*)

Wielka nadeszła chwila... Naród mówić może!
Krzyżowany przez lata, z blizną dotąd krwawą
Naród nasz, chociaż cisną go jeszcze obroże,
Ma głos! Przez Wasze usta przemówić ma prawo.

Wam powierzył swą godność i straż własnej doli,
Na Was złożył cierniowe poselskie korony,
Ufny, że choćby nadal przyszło żyć w niewoli,
Utrzymacie mu honor czysty, niesplamiony.

Żadnych targów on nie chce, kłaniać się nie umie...
Sto lat konał, a dumy nie utracił z czoła...
Przekleństwo! gdy o „litość“ — ktokolwiek zawoła
I sromotą okryje nas tam, w newskiej Dumie.

Idźcie! i jak grom bądźcie, jak wyrzut cierpienia,
Które naród nasz lata znosił w poniewierce!
Idźcie! wierzymy w rozum wasz, i w takt, i w serce!
Idzcie po przyszłość kraju... spełnijcie marzenia...

*) Jedno z pism warszawskich zamieściło wiersz powyższy z okazyi wyjazdu posłów polskich do Petersburga na posiedzenia do Dumy.



Jan Zacharyasiewicz.

W wsi Krzywce nad Sanem w Galicyi zmarł u swoich krewnych powieściopisarz Jan Zacharyasiewicz. A chociaż wedle dat, podawanych przez biografów jego, liczył lat 81, zaś wedle kartki pośmiertnej nawet 85, kiedy wiadomość o jego zgonie nadeszła do Lwowa, przyjęto ją wprost z niedowierzaniem. Nazwisko bowiem Zacharyasiewicza tak się zrosło w pamięci naszej z literaturą bieżącą, iż trudno było sobie odrazu uprzytomnić, że śmierć wykreśliła je z wykazu czynnych pracowników pióra...

Działalność poetycka, publicystyczna a przedewszystkiem powieściopisarska Zacharyasiewicza obejmuje okres czasu nieomal okrągło sześćdziesięcioletni, w ciągu którego zmarły miał chwile prawdziwej i niezwykłej świetności. Kiedy po roku 1864 milknąć poczęły ostatnie silne echa poezyi romantycznej, kiedy z powieściopisarzy Kaczkowski usunął się za granicę i z rzadka się tylko odzywał, trzy nazwiska powtarzała publiczność jako symbol i najwyższy wykwit epoki: Kraszewskiego, Jeża i Zacharyasiewicza.

Trójka powieściopisarzy w umysłach publiczności do pewnego stopnia zastąpiła miejsce trójce wielkich po-

etów naszego romantyzmu. Uważano ich za równorzędnych sobie, za ściśle ze sobą związanych, za uzupełniających się wzajemnie.

Dziś z pewnej już odległości, perspektywa obrazu ówczesnej literatury naszej nieco inaczej się przedstawia, zmieniły się propozycye poszczególnych postaci i rzekome ich powinowactwo duchowe, w każdym jednak razie Zacharyasiewicz pozostanie jedną z najwybitniejszych postaci w dziejach powieściopisarstwa polskiego, jednym z najbardziej czytanych autorów naszych.

Więcej jeszcze: Zacharyasiewicz doszedł do najwyższego szczytu popularności, jakim jest „anonimowość„ która powstaje wtedy, jeżeli utwór tak głęboko wniknie w umysły ogółu, że się go powtarza, jak publiczną własność, nie myśląc, nie pamiętając, a w końcu niewiedząc nawet kto go napisał.

Któż nie zna, kto nie śpiewał za lat młodych sentymentalnej piosnki: „Żółty kwiatek tyś mi dała — jam się smucił tyś się śmiała"... albo, przechodząc w sfery „salonowe", któż nie deklamował wśród westchnień melancholicznych:

„Na pola zejdzie słoneczko z nieba,
Lecz dla nas — zawsze mgły!
Kochać niewolno, zapomnieć trzeba,
A w sercu sny — sny!...

Od piosenek, od poezyi, Zacharjasiewicz przeszedł do powieściopisarstwa, a to przejście musiało być poprzedzone jakąś bardzo bolesną dla autora przemianą wewnętrzną. Pozostał bowiem wprawdzie i w powieściach swoich tkliwym i czułym, ale marzenie, które dawniej było dla niego wszystkiem, stało się przedmiotem jego szyderstw, ofiarą surowego potępienia.

I nic dziwnego, należał do pokolenia, co jak jego „Marcyan Kordysz" ujrzało siebie samego na katafalku i tak jak Kordysz wyleczyło się tem z marzeń i bohaterskiej ideologii, a „wyleczyło" gruntownie aż do zupełnego niemal wyjałowienia roli duchownej, tak, że potem musiało czemprędzej zawracać z tej „jedynie prawdziwej drogi"...

Tą trzeźwością polityczną, która nie wyklucza ani prawdziwego rozumu, ani serca u autora, odznaczają się niemal wszystkie powieści Zacharyasiewicza, dające się ująć pod wspólny tytuł „powieści społecznych", jak „Uczony", „Na kresach", „Święty Jur", „W przededniu", „Czerwona czapka", „Zakryte karty," „Zły interes" i inne.

Inny dział to powieści obyczajowe. Tutaj kobieta w całej swojej szlachetności i miłości była jedynym niemal tematem i osią utworów. Najpopularniejszym z nich była powieść „Wiktorya Regina", dalej „Po ślubie", „Mąż upatrzony", „Zakazane owoce", „Milion na poddaszu", „Omanka", „Kometa" itd.

Uprawiał też Zacharyasiewicz z powodzeniem powieść historyczną, nie cofając się w niej jednakże ani w zamierzchłe, ani nawet zbyt odległe lata, tak, że niektóre z nich, jak „Żółty generał", stoją na pograniczu pomiędzy powieścią historyczną, a współczesną. Ściśle już historycznymi utworami są „Konfederat", „Marek Poraj", „Chleb bez roli" i „Noc królewska".



† **Ś. p. Jan Zacharyasiewicz.**

We wszystkich utworach wielkiemi zaletami Zacharyasiewicza i wielkiemi przynętami, które zyskiwały mu czytelników, były dwa cenne przymioty: lekki humorek i umiłowanie, a zarazem umiejętność obrazowania natury.

Przymioty literackie swojego talentu Zacharyasiewicz zachował do końca. Znajdujemy je jeszcze w zbiorze nowel wydanym przed kilku laty, znajdujemy jego szyderstwo z ideologii w jednej z najświeższych jego powieści „Orion i Chryzantema", napisanej na popularną dziś modłę przedstawiania społeczeństwu przyszłości. Tylko podczas gdy dawniej marzycielstwo i idealizm znajdowały w nim nielitościwego sędziego, tutaj z melancholią ukrytą poza szyderstwem, autor przewiduje czasy kiedy one znikną na zawsze w ultrapraktycznem społeczeństwie...

Zacharyasiewicz był w ścisłem słowa znaczeniu dzieckiem Galicyi. Urodził się w Radymnie w r. 1825, a już podczas nauk gimnazyalnych w Przemyślu dostał się za patryotyzm do więzienia w Szpilbergu. Wyszedłszy ztamtąd, wziął udział w ruchu literackim m. Lwowa, redagował wraz z Karolem Widmanem radykalne czasopismo „Postęp", a potem (w r. 1849) „Tygodnik Polski". Dostał się znowu do więzienia, a wypuszczony po dwu latach, powrócił do Lwowa i był członkiem redakcyi „Nowin" i pamiętnego w naszym rozwoju umysłowym „Dziennika Literackiego".

Kiedy w Warszawie, po pierwszem przygnębieniu rozbudził się napowrót silny ruch literacki, Zacharyasiewicz tam przeniósł swoją działalność autorską i tak już pozostało aż do końca, nawet wtedy, kiedy autor, zwłaszcza po wypadku złamania nogi, jaki go spotkał już jako 70-letniego przeszło starca, osiadł u krewnych na wsi.

Odszedł, zamknąwszy i zaokrągliwszy swą działalność autorską, wyczerpawszy niemal do dna miarę żywota ludzkiego, a odszedł w dniach wiosny i przyrody i ducha. „Na polach" dzisiaj nie „deszcz i mgły", ale kwiaty i słońce, a chociaż jak w jego piosnce „w sercach sny i sny", to nie są to sny ani beznadziejne swą melancholią, ani małe swoją czułostkowością, ale krzepkie, szerokie i twórcze...

I tą przemianą radowała się niewątpliwie dusza zmarłego w chwili odlotu!

W. D.

R. Saint — Maurice.

DEZERTER.

przekład M. C.

Opowiadanie z wojny francusko-niemieckiej.

(Ciąg dalszy.)

Beaugency 8-go grudnia. Niemcy po raz drugi zajmują Orlean. Armia Loary cofa się — cofa się ciągle! A takie zimno! Ach! jakie zimno!

Tylne straże zamieniły się teraz na straże przednie. Im przypadło zadanie powstrzymywania najeźdźców, 102-i pułk cofa się razem z innymi, ale na samym końcu. Rano i wieczorem ma zaszczyt odstrzeliwać się bezustanku.

Za męstwo okazane pod Loigny, Benjamin Gager został mianowany kapralem, i wymieniony w rozkazie dziennym. Napisał o tem do ojca. Ojciec powtórzył mu w liście to samo, co mówił przy pożegnaniu:

„Trzymaj się ostro... Bij się za dwóch!"

Więc trzymał się ostro, szedł bez szemrania, pomimo, że buty, stward-

niałe od wody, zmarznięte jak kość, uciskają go nielitościwie. Tornister jest cięższy, bo na nim dźwiga skóry kozie, któremi okrywa się w nocy dla ciepła. Mniejsza o to! Ojciec pisze: „Bij się za dwóch!“ Nie można ojcu robić wstydu... Na tornistrze, między kozlemi skórami, Benjamin chowa leszczynową deseczkę, i na niej robi nacięcie, za każdym Niemcem którego trafił. A Benjamin Gager wie, że jest strzelcem nieladajakim. Gdyby wszyscy ochotnicy w armii Loary strzelali tak celnie jak on, możnaby sobie iść spacerem do Paryża — a nawet do Berlina.

— Ale tak ciągle się cofać, od rana do wieczora, i od wieczora do rana... Czy to jest wojna? rozmyśla Benjamin.

Zapewne dowódcy mają swoje powody... Kapitan tłomaczy żołnierzom, że ten odwrót pomoże im przygotować się dalej, w głębi kraju, do wielkiego zwycięstwa, które uratuje sprawę. A chyba kapitan nie kłamie.

Szwadron kawaleryi gwardyjskiej — jeźdźcy rośli, po sześć stóp każdy — przyłączyli się do armii. W czerwonych płaszczach, ludzie ci podobni są do dawnych pułków cesarskich, tych, które zwyciężyły pod Solferino i pod Almą. Wszystko starzy żołnierze, zahartowani. Dla czego jednak unikają walki? Cofają się z wojskiem, nie wyjmując z pochew szabli. Czy oszczędzają się na chwilę stanowczą? A może wiedzą, że wszelki wysiłek jest daremny?

Cofają się z Beaugency z tylną strażą, pod strzałami działowemi, Benjamin widział leżące w rowie ciało. To Aubertot, sabociarz. Z rozpłatanym przez odłam granatu brzuchem, żółtemi jak wosk rękoma, przytrzymywał pod żołnierskim pasem wymykający się zwój krwawych wnętrzności...

Żeby pomścić kolegę, Benjamin po wyjściu z Beaugency, zaczął jeszcze staranniej strzelać. I tego samego wieczora, zrobił czterdzieste siódme nacięcie na leszczynowej tabliczce.

Montoire!... Cofnęli się z Beaugency, z Marchenoir, z Vendome, wszędzie. Ale nigdzie — niestety,, walka nie była podobna do walki w Loigny, kiedy zwycięztwo było tak blizko...

Mróz... Snieg pada... To już nie armia w odwrocie — to tłum upiorów, uciekających przed toczącą się lawiną.

„Trzymaj się ostro! Bij się za dwóch!“ — powtarza mu w listach ojciec. I Benjamin trzyma się ostro — i bije się za dwóch... Ale jednak... wszystko ma swoje granice... Jakiż będzie skutek tego „trzymania się ostro?“ Czy dowódcy mają naprawdę jakiś plan? Benjamin czuje, że mu sił zaczyna braknąć. Nogi ma całe w ranach... Rzemienie tornistra poprzecinały mu skórę na ramionach... Muskuły, które natęża siłą woli, bolą go niby rany krwawiące się zewnątrz.

Zima i zniechęcenie robią większe spustoszenia niż kule. Olbrzymi jeźdźcy w szkarłatnych płaszczach, uważając pewnie że są bezużytecznymi — znikli we mgle — odjechali niewiadomo dokąd. Pomimo ogłoszenia surowych kar, dezercye mnożą się. Adjutant Bridonneau, geometra przysięgły z Torce, w przystępie szału zastrzelił się, w obliczu całej swej kompanii.

Dokądże potrwa to wszystko? O! co za straszna wojna! Więc te górne frazesy w proklamacyi były tylko oszukańczą przynętą?

Jednej nocy Benjamin Gager ze swoim oddziałem schwytał w pobliżu Laverdin patrol meklemburski. Meklemburczycy, niemniej od Francuzów wycieńczeni, woleli się poddać, niż walczyć dłużej. Za ten czyn kapral Gager został mianowany sierżantem, a pułkownik Ferreira powiedział mu przed frontem:

Jesteś dzielnym żołnierzem, jak twój ojciec...

* * *

Styczeń!... 102-gi pułk razem z całą brygadą stanął na kwaterach w okolicy Parigne-l'Eveque. Ci, którzy marzyli o daniu odsieczy Paryżowi, teraz myślą już tylko o osłanianiu i obronie Le Mans...

Walka toczy się na gruncie departamentu, o dwadzieścia kilometrów od Torce. Krajobraz ma już charakter stron rodzinnych, w których wychowywał się syn leśniczego. Ale zmarznięty śnieg — śnieżne zaspy — nadają im inny wyraz, jakiś wyraz tajemniczy i tragiczny, odmienny od zwyczajnej zimy w tych stronach.

Sierżant Gager dostał pewnego wieczora dowództwo na posterunku. Bywa to zwykle obowiązkiem kaprala. Ale tego wieczora stanowisko to jest niezwykłej wagi.

— Los całej brygady zależy od ciebie — mówi kapitan, naznaczając ludzi na posterunek. Miej baczne oko na wartowników. Nieprzyjaciel może w nocy będzie chciał obejść te wzgórza.

— Dobrze! panie kapitanie! — odpowiada spokojnie sierżant Gager.

Dla obrony posterunku żołnierze na skraju lasu wzniecili szałas z gałęzi i obsypali go śniegiem.

Większość żołnierzy pochodzi z południa i jest niewytrwała na mróz.

Sierżant wybrał na wartowników dwóch ludzi z okolic Awinionu, którzy drżą z zimna pod wełnianemi szalikami, okręconemi na szyi. Ustawia ich o sto pięćdziesiąt metrów na froncie, w zagłębieniu drogi. Tę drogę od dziela od lasu szeroki płat śniegu pokrywającego łąkę.

Po powrocie do posterunku, Benjamin zastaje resztę żołnierzy napełniających wódką kubki, dla rozgrzania żołądka. Po jego nadejściu wychyliwszy ostatnią miarkę, kładą się pokotem, napół pijani, pod osłoną gałęzi, obejmując się instynktownie dla podtrzymania ciepła. Ogień żarzy się przed szałasem. Sierżant siada przy ogniu. Stękając boleśnie, zdejmuje obuwie. Ach! co za straszny ból tych nóg obdartych i zziębniętych! Zdejmuje tornister i zaczyna płakać...

Noc jest widna. Księżyc wschodzi na niebie mroźnem, bezchmurnem. Na białym śniegu, na który padają cienie obnażonych z liści wiązów, połyskają lodowe iskierki. Cisza — przerywana tylko chrapaniem śpiących w szalasie, coraz cichszem.

Benjamin włożył pięty w gorący popiół: nie czuje oparzenia. Myśli o Chesnay, o ojcu. o matce... Za czasów, kiedy ojciec służył w wojsku, łatwiej było wojować... Wtedy można było znieść dwa razy tyle trudów co dziś... Bo wtedy przynajmniej nikt się nie bił po to, żeby się cofać. Przychodzi mu na myśl jego narzeczona, Marya Lecuyer, która w tej chwili śpi spokojnie, pod zasuniętemi firankami. Za chwilę całe jego ciało skostniałe, zesztywniałe, zamienia się w bryłę lodu bez życia...

Pomimo zimna, które go kłuje za paznogcie, obuwa poranione nogi. Czas zmienić wartowników....

Zdawało mu się, że w zagłębieniu drogi rzucają się jakieś postacie... Coś nakształt cieni krzyżuje się i unosi na śniegu.

— Zmora — czy co?

Pochyla się nad jednym ze śpiących, i potrząsa go wziąwszy za kark...

— Suberbielle! Suberbielle! Wstawaj!

Suberbielle nie odpowiada.

— Czas zmieniać warty!... Coursegoules!

Coursegoules nie odpowiada...

Sierżant zapala zapałkę, przygląda się ich twarzom, dotyka rąk zesztywniałych... Śpiący pomarli! Okrzyk przerażenia wydziera się z gardła Ben-

jamina... Zęby zaczynają mu dzwonić... Przychodzi mu nagle myśl...

— Wartownicy! — co robią wartownicy?...

Czuje zawrót głowy i potyka się biegnąc ścieżką, po stwardniałym śniegu, do zagłębienia drogi... Wszędzie zima! Pustka!... Może i tu... śmierć?

U stóp drzewa leżą dwa tornistry, dwa karabiny... Gdzie żołnierze?

Ślady ich stóp widać na białej płaszczyźnie, ciągnące się do pagórków. Wartownicy uciekli...

Benjaminowi mieniło się w oczach.. W uszach mu dzwoniło:

— Uciekaj!

Kto wołał? Zaczyna nadsłuchiwać, i słyszy tylko w oddali coś, jakby chrzęst śniegu po którym ktoś idzie, a naokoło niego, na śniegiem pokrytej ziemi, wydłużają się cienie wiązów i topoli, i drżą — drżą — choć wiatru niema...

— Uciekaj! — powtarza ten sam głos — głos śmiertelnej trwogi.

Benjamin rzuca na ziemię karabin... I puszcza się pędem... Biegnie, a krew zaczyna żywiej krążyć w jego żyłach Biegnie i nie bolą go już pokaleczone nogi... Dokąd dąży? Za nim i przed nim płoty — płoty zasypane śniegiem.

— Kto idzie?... Stój!...

Usłyszawszy rozkaz — staje. Szorstkie ręce chwytają go za ramiona. Zamyka oczy... Dowódca patrolu usiłuje przy świetle księżyca odczytać numer pułku na jego mundurze, i mruczy...

— Sierżant 102-go pułku... zdezerterował...

(Dokończenie nastąpi.)

Moje skrzypeczki.

Skrzypeczki moje kochane,
Jaworowe, malowane,
Kiedy wezmę do mej ręki
Różne grają mi piosenki.

Gdy mi w sercu nie wesoło,
Choć świat cieszy się w około,
One ze mną razem czują,
I smutne piosenki snują.

Kiedy przeszłe chwile złote,
Budzą w sercu mem tęsknotę
To skrzypeczki z mojej ręki
Tęskne, rzewne leją dźwięki.

Gdy wśród smutku i tęsknoty
Błyśnie szczęścia promień złoty,
To skrzypeczki moje głośne
I ich brzmienie jest radosne.

Gdy mi ciężko żyć na świecie,
Kiedy troska duszę gniecie,
Wtedy do bożego tronu
Bije skarga z czworostronu.

Nieraz do mnie ktoś się zgłosi,
Na wesele zagrać prosi,
Na dożynek lub majówkę
I w kieszeni mam gotówkę.

C. Bodenhausen.

Bywa czasem w nocnej dobie,
Na skrzypeczkach, gram ja sobie,
Księżyc mi przyświeca mile,
Jakże błogie są te chwile.

Wśród tej nocy, ciszy, cienia
Te marzenia i wspomnienia,
Skrzypki moje opłakują
Odtwarzają, odśpiewują.

Gdyby mi pół świata dano,
Lecz za to odebrać chciano
Me skrzypeczki, i piosenki,
Nie dałbym ich wydrzeć z ręki.

Skrzypeczki me ulubione,
Ukochane, wypieszczone,
Czy w mem życiu róże, ciernie
Zawsze mi posłużą wiernie.

Gdy z pod mej stygnącej ręki,
Konać będą me piosenki,
Skrzypeczki mi jaworowe,
Zagrają „reqiem“ grobowe.

Tylko mi tam już do nieba,
Skrzypeczek nie będzie trzeba,
Bo tam w niebieskiej radości,
Nie kończy się pieśń wieczności.

Jantek z Bugaja.

Mostek na Przemszy.

(Do ryciny).

O kilkaset kroków od miejsca, gdzie stykają się granice ziem trzech mocarstw zaborczych, zbudowała pewna kopalnia niemiecka mostek żelazny dla pieszych, celem ułatwienia komunikacyi robotnikom, którzy z Ga-

licyi i Kongresówki przychodzą codziennie na robotę. Granicę właściwą między ziemiami Galicyi a Prus tworzy rzeczka Przemsza nie szersza nad kilka metrów, lecz dość głęboka z spadzistymi brzegami.

Przy obydwóch końcach mostu postawiono domki dla strażników celnych.

Załączona rycina przedstawia żan- [redacted]

Manifestacya
francusko - polska.

25-go marca r. b. w Paryżu odbyła się na placu Clichy niezwykła uroczystość. Za inicyatywą pp. C. Gasztowta i G. Dauchota i z upoważnieniem władzy francuskiej złożono na sławnym pomniku marszałka Moncey piękny wieniec z napisem: „*Aux Polonais morts pour la France, symbole de liberte* 1796—1814, 1870—1871“. (Polakom poległym za Francyę, która jest symbolem wolności, 1796 do 1814, 1870—1871).

Wiadomo, że na tem właśnie miejscu toczyła się ostatnia walka pod Paryżem w roku 1814 (30 marca) i że w niej udział mieli rodacy nasi pod dowództwem Zajączka, Kozietulskiego i generała Vincent (ułani, szwoleżery i krakusy).

Zebrana publiczność byłaby liczniejszą, gdyby upoważnienie przyszło wcześniej, a nie dopiero dnia poprzedzającego. [redacted] walki i bohaterskie czyny Polaków w obronie wolności i na usługach Francyi, a następnie powraca jeszcze raz do opisanej na początku artykułu uroczystości i pisze:

„Wieniec, złożony dnia 25 marca na pomniku na placu Clichy, przypomniał rocznicę tej ostatniej walki i oddał cześć 200 000 Polakow, poległych za Francyę od roku 1796 do 1814, a równocześnie tym, którzy padli w naszych szeregach w roku 1870 i 1871. Podczas tej ostatniej wojny, w istocie na 3 700 mniej więcej emigrantów polskich, 1750 zgłosiło się, jako ochotnicy do naszej armii. Było ich 600 pod dowództwem Faidherbea, 500 w gwardyi narodowej Paryża, 60 pomiędzy wolnymi strzelcami z Chateaudun, którymi dowodził ich rodak Lipowski. — Pod Orleanem zebrano 120 trupów Polaków, poległych pod naszemi sztandarami.

Wieniec złożony u posągu marszałka Moncey, jest utworzony z wielkich palm zielonych, związanych szarfą w barwach polskich“.

Nasza ofiarność.

Szanownym Czytelnikom przypominamy powyższą rubrykę składanych ofiar na różne cele narodowo-humanitarne, prosząc ich, aby przy wszelkiej nadarzającej się sposobności nie zapomnieli o „naszej ofiarności“ *tak na fundusz jubileuszowy Towarzystwa Czytelni ludowych jak też na wszelkie inne cele, na które składki zbieramy* (patrz poprzednie numera „Pracy“.)

Na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie: p. Ig Biskupski, fryzyer z Grodziska 3 mrk. Razem z poprzedniemi złożono u nas na cel powyższy 21 mrk 55 fen.

* * *

Z Wieszczyczyna nadesłał nam ks. *Walenty Nowicki* spis osób, które w dalszym ciągu złożyły na jego ręce *ofiary na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie*. Spisu tego, który ogłosiły codzienne gazety, dla braku miejsca zamieścić nie możemy.

Ks. Nowicki składa wspaniałomyślnym ofiarodawcom w imieniu swojem i parafian szczere podziękowanie.

Nekrologia.

† Ś. p. *Maksymilian Schmidt*, dnia 13-go b. m. w Środzie, w 63-im roku życia.

† Ś. p. *Andrzej Bartkowiak*, dnia 13-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Melania z Rychłowskich Mieczkowska*, dnia 15-go b. m. w Lesznie.

† Ś. p. *Józef Alkiewicz*, sedundaner gimnazyum w Iławie, dnia 19-go b. m., przeżywszy lat 18. Pogrzeb odbył się dnia 23-go b. m. w Jabłonowie.

† Ś. p. *Franciszek Simiński*, dnia 20-go b. m. w Białczu, w 68-ym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 23-go b. m. w Czempiniu,

Wiadomości literackie i artystyczne.

Nowa powieść H. Sienkiewicza. Wkrótce ukaże się najnowsza powieść naszego największego powieściopisarza H. Sienkiewica p. t. „Na polu chwały“. Za tło posłużyły w powieści tej czasy króla Jana III, i odsiecz Wiedeńska. Nie potrzebujemy chyba zachęcać czytelników naszych do nabycia książki, której posiadanie dla każdego prawego Polaka jest niejako obowiązkiem. Zwracamy na to mianowicie towarzystwom naszym uwagę, i spodziewamy się iż książka znajdować się będzie w bibliotece każdego. Zamówienia przyjmuje już teraz Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu. Po szczegóły odsyłamy czytelników naszych do ogłoszenia w dzisiejszym numerze.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Walne Zebranie

Banku Związku Spółek Zarobkowych odbyło się w Poznaniu, dnia 10-go bieżącego miesiąca z udziałem 108 Spółek i 18 osób prywatnych. Zebraniu przewodniczył p. szambelan Cegielski, prezes rady nadzorczej banku. Po sprawozdaniach rady nadzorczej, zarządu i dyskusyi nad niemi przyjęto proponawny podział zysków w ten sposób, że wyznaczono 6 procent dywidendy.

Fundusze rezerwowe uchwalono podwyższyć ogółem o sumę 70 960,51 mk., tak, że wynoszą obecnie 491 085,45 marek.

Z kolei starszeństwa wystąpili z rady nadzorczej pp. szambelan Cegielski, wicepatron dr. Teofil Rzepnikowski i dr. Jakób Szóstakowski, i zostali na nowo wybrani na lat 5, czyli do walnego zebrania w roku 1911.

Na mocy § 21 ustaw powiększoną została nadto liczba członków rady nadzorczej z 9 dotychczasowych na 15. Okazał się przeto konieczny wybór sześciu nowych członków. Walne zebranie wybrało następujących panów: na czas aż do walnego zebrania 1910: p: Stanisława Sikorskiego, właściciela dóbr w Wielkich Chełmach, pana redaktora Adama Napieralskiego z Bytomia i pana Jana Leitgebra, kupca w miejscu; na czas aż do walnego zebrania w 1909 roku ks. prob. dr. Antoniego Wolszlegiera z Pieniążkowa w Prusach Zachodnich, pana Wojciecha Kandziorę, właściciela folwarku i członka zarządu Banku ludowego w Opolu, pana Stanisława Malinowskiego, właściciela fabryki i członka rady nadzorczej Banku ludowego w Śremie.

Rada nadzorcza składa się obecnie z następujących panów: z W. Ks. Poznańskiego dziesięciu i to: pp. szambelan Cegielski, radzca sprawiedliwości Jan Głębocki, ks. dziekan i radzca Kotecki, Stanisław Krysiewicz, Mikołaj Boguliński, dyrektor Spółki w Środzie, Józef Chłapowski z Rzegocina, Patron Kółek rolniczych, dr. Jan Karchowski z Książa, dr. Jakób Szóstakowski, Jan Leitgeber, St. Malinowski; z Prus Zachodnich trzech: pp. wicepatron dr. Rzepnikowski, Stanisław Sikorski, ks. prob. dr. A. Wolszlegier; z Górnego Śląska dwóch: pp. Adam Napieralski i Wojciech Kandziora.

Program Walnych Zebrań Kółek roln. na rok 1906.

W czerwcu: 10 w Środzie, 24 w Czarnkowie (lub w Lubaszu) i tegoż dnia w Kościanie.

W lipcu: 1 w Żninie, 5 w Bydgoszczy (lub w Koronowie), 8 w Inowrocławiu.

W sierpniu: 19 w Opalenicy, 26 w Mogilnie.

We wrześniu: 2 w Witkowie i tegoż dnia w Pleszewie, 16 we Wolsztynie, 23 w Kępnie na sali p. Staszaka, 30 w Chojnie.

W październiku: 7 w Wyrzysku i tegoż dnia we Wrześni, 14 (na powiat poznański zachodni) w Stęszewie, 21 w Brennie, 28 w Gostyniu.

W listopadzie: 4 w W. Chrzypsku, 11 w Poznaniu (na powiat wschodni poznański), 15 w Wągrówcu, 25 w Obornikach.

Konkurenci rzemieślników.

Spojrzmy na nasze rzemiosła: stolarstwo, ślusarstwo, szewstwo itd., co się tam dzieje; jaką ruinę spowodowała „brudna konkurencya", wszystkie rzemiosła są opanowane przez wyzyskiwaczy, którzy bynajmniej nie są stolarzami, szewcami, krawcami, ale tylko je wyzyskują swoim sprytem, kapitałem i przebiegłością — a pracuje na nich w pocie czoła majster i czeladnik przy warsztacie za nędzny i lichy zarobek, który nawet na najprostsze potrzeby życiowe nieraz nie wystarcza.

A cóż powiedzieć o kupiectwie — jaka to na tem polu przemysłu panuje nieuczciwa konkurencya. Uczciwy i sumienny kupiec ma do walczenia nie tylko z „brudną" konkurencyą, ale i z przesądami, kaprysami i nieznajomością rzeczy odbiorców. Jeśli weźmiemy na uwagę, że u kupców żydowskich często się można z nader lichym spotkać towarem, zakupionym w fabrykach na śmiecie, za który mimo to publiczność płaci drogo, to można sobie wyobrazić trudność rywalizacyi.

Słyszeliśmy już nieraz skargi na fabryki i maszyny, które odjęły pracę rzemieślnikom, ale skargi te są po większej części nie usprawiedliwione — maszyny wynikły bowiem z konkurencyi uczciwej, przemysł ludzki na nie się zdobył siłą moralną i nauką — i przy nich rzemieślnik nie potrzebuje się obawiać złych skutków, przeciwnie, dobrych, gdyż ułatwiają pracę rąk i wyrób uczciwym sposobem robią tańszym. Fabryki zrobiły wprawdzie wielką konkurencyą rzemieślnikom, ale konkurencyę, z której umiejętny rzemieślnik może korzystać nieraz.

Cóż tedy począć, by podnieść rzemioslo, by podnieść wartość produktu?

Niezbędnym, życiowym warunkiem dla przemysłowca jest nauka i światło — niemi zawsze można wiele zdziałać, bez nich nic.

Dla tego każdy przemysłowiec będzie kowalem własnego szczęścia — im więcej umieć będzie, tem większe korzyści praca i znój jego będą mogły odnieść.

Drogą skuteczną ku zwalczaniu nieuczciwej konkurencyi może być dobry i rzetelny wyrób.

„Przemysłowiec".

Od dyrekcyi „Westy"

odbieramy pismo następujące:

Na posiedzeniu Rady nadzorczej *„Westy" Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu* odbytem dnia 24 kwietnia, przedłożony został *bilans za rok 1905*, który wykazuje korzystne zamknięcie obrachunków.

Czysty zysk roku obrachunkowego wynosi *po odłożeniu pełnej matematycznej rezerwy*

M. 8 ,824,41

Rezerwy wraz ze składkami przeniesionemi na rok 1906 podniosły się na

M. 3,526,593,17.

Oprócz tego do kapitału bezpieczeństwa i rezerwy specyalnej odłożone zostanie przeszło

M. 23,000.

Dla członków wypadnie za rok 1905 *15% dywidendy.*

Certyfikataryusze otrzymają 4% zysku, które stanowić będą 15% od wartości kuponu.

Wypłacono w roku 1905:
M. 191,598,60 po 96 *zmarłych* członkach.
M. 55,024,83 członkom *za życia.*

Ogółem dotychczas wypłacone zostały przez Westę do końca roku 1905

M. 4,359,675,13.

Majątek (aktywa) „Westy" wzrósł o Marek 176,560,62 i wynosił na końcu roku 1905

M. 3,823,812,60.

DZIAŁ KOBIECY.

Welon.

Nie każdy welon potrzebuje być ślubnym, chociaż pod „welonem“ ma się rzeczywiście zawsze „ślubny“ na myśli. W każdym razie w owej wielkiej liczbie drobnostek, składających strój kobiety, odgrywa welon albo woal, dosyć znaczną rolę, można nawet twierdzić śmiało, że ta lekka, powiewna osłona była pierwotnem ubraniem kobiety.

Welon jest zawsze czemś zagadkowem, tajemniczem, i już w czasach starożytnych miał pewne znaczenie, jak tego dowodzi podanie o zasłoniętym obrazie w Sais. W starożytnej Grecyi nosiły dziewice, poświęcone służbie bogów długie welony, przytrzymywane na czole szeroką złotą przepaską, i stare matrony z arystokratycznych domów nosiły je także. Nad zwłokami walecznego Hektora zerwała sobie matka jego Hekuba welon z głowy i rzuciła go na ciało syna.

Rzymianki stroiły się również w welony, kosztowne, haftowane złotem i drogiemi kamieniami, lecz kolorowe wolno tylko było nosić mężatkom, białe służyły wyłącznie Westalkom.

Germanki zdobiły również głowy welonami, zarzucając je na wieńce z kwiatów lub liści — były to tkaniny tak lekkie i przezroczyste, jak nić pajęcza, a im cieńsze która z młodych kobiet uprzędła, tem większą była jej sława. Z biegiem lat wyszły zamąż i gdy zajęcia domowe zabierały im zbyt dużo czasu, nie plotły swych bujnych włosów, tylko skręcały je i upinały wysoko nad czołem, nakrywając ułożonym zręcznie welonem. Tak powstały czepki i stąd owe znane „dostanie się pod czepek“. Niektóre welony bardzo praktyczny mają cel, i tak naprzykład czapka fryzyjska, przylegająca mocno do głowy, a złożona z blachy srebrnej i złotej, ma na dole welon koronkowy, okrywający szyję i ramiona, i strzegący szyję od zaziębienia. Na dworze francuskim, hiszpańskim i angielskim były welony bardzo modne i tworzyły najpoważniejszą część ubrania. Dochodziły nieraz do olbrzymich cen i musiały być tak delikatne i cienkie, „jak chmurka, jak powiew zefiru, jak mgła lub jaka siatka pajęcza“.

Ze Wschodu przywieziono pierwsze welony jedwabne, a były one tak drogie, że z początku tylko bardzo bogate panie kupować je mogły. Później wyrabiano je w Włoszech i w Niemczech, i wtedy zapanował taki zbytek w jedwabnych welonach, że władze miejskie musiały w to wkroczyć. Niejeden bowiem obywatel stracił cały majątek przez kupowanie welonów dla żony i córek. W mieście Ulm wydał burmistrz taki przepis, że szlachciankom wolno było nosić welony „o dwudziestu niciach“, mieszczankom zaś tylko „o dwunastu“. Pod niciami rozumiano frendzle, któremi każdy welon był zakończony.

W rozmaitych krajach rozmaicie upinano welony na głowie. We Francyi noszono długi czas tak zwany „burgundzki czepek“ — był to strój wysoki, spiczasty, z spływającym ku ziemi długim, wąskim welonem, we Włoszech noszono w tym samym czasie welony, ułożone w kształcie turbanu, a w Anglii, na szerokiej, niskiej fryzurze, krótki, szeroki welon, spadający na plecy, jak szeroka falbana.

Z założeniem klasztorów pojawiły się też zaraz welony zakonnic. Kobiety, poświęcające się Bogu, przybrały szaty proste, skromne i głowy zakrywały welonami, a później stało się „przyjęcie welonu“ wielką uroczystością w klasztorach — bo wtedy stawała się nowicyuszka zakonnicą i zamykała się na całe życie w murach klasztoru. Nazwano to „obłóczynami“ — przywdzianie habitu i welonu wykluczało ją na zawsze ze świata.

Wszyscy niemal sławni malarze zajmowali się też welonem. I tak widzimy każdą prawie Matkę Boską i każdą Świętą z welonem. Mam tu głównie na myśli malarzy szkoły włoskiej — artyści bowiem niemieccy, mianowicie z nowszych czasów przedstawiają Najświętszą Maryą Pannę zwykle z rozpuszczonemi włosami lub gładko zaczesanemi, bez welonu. Ale Rafael okrywał nim cudownie swoje Madonny, uwydatnia to się głównie u Madonny Sykstyńskiej.

A teraz na zakończenie kilka słów o welonie ślubnym i o woalkach modnych wytwornych dam.

Welon ślubny przyjęto u nas od niepamiętnych wieków ze Wschodu. Tam było małżeństwo interesem kupieckim, zawieranym przez rodziców lub pośredników.

Narzeczona była przedmiotem, który narzeczony za pewną sumę kupował, a w braku pieniędzy musiał to w inny sposób „odrobić.“ Dla tego służył Jakób siedem lat u ojca Raheli. U Mahometanów dzieje się to dziś jeszcze, tam narzeczony widzi wybraną żonę dopiero w dzień ślubu i musi płacić za nią teściowi. Niejeden może ojciec u nas, mający pięć lub sześć córek, życzyłby sobie, aby i tu panował taki zwyczaj, ale......

Ach, tu nikt za żonę teściowi pieniędzy nie daje! Przeciwnie..... niestety! przeciwnie!

Mahometanki więc mają twarze całkiem zakryte welonem, tylko oczy są wolne, a u niektórych ludów i oczy nawet zasłania przezroczysty welon. Jest to dla wielu kobiet bardzo korzystne, bo mają zwykle piękne oczy, lecz brzydkie usta i spróchniałe zęby. W dzień ślubu zdejmują tam kobiety welon, u nas właśnie w dzień ten okrywają się nim panny młode. A ile marzeń, ile westchnień, łez i uśmiechów, ile nadziei i wspomnień wiąże się z tą białą, powiewną tkaniną!

Ważną też jeszcze gra rolę welon w tańcu. Już Greczynki tańczyły z welonami, raz je unosząc w górę, raz okręcając się niemi. Uwydatniało to doskonale ich wdzięk i panie francuskie przyjęły tę modę za czasów pierwszego cesarstwa. Przy wszystkich tańcach „solo“ posługiwały się długiemi welonami, a pani Stael uwieczniła nawet taniec taki w powieści swej „Corinna.“

Ale nad wszystkiemi górowała w tańcu z welonem lady Hamilton, córka kucharki, która pięknością swoją i tańcem zachwyciła starego lorda Hamiltona tak, że się z nią ożenił.

Aby zaś panowie nie zarzucali paniom zbytniego zamiłowania dla onych powiewnych a kosztownych zasłon, wypada nadmienić, że i mężczyzni stroili się w welony. Izraelici nosili turbany, spływające na plecy welonami, a w wiekach średnich mieli dostojnicy kościoła katolickiego przepaski na głowie, przytrzymujące krótko ułożone zasłony.

Muzułmanie owijają fez welonem, a jeżeli welon jest koloru zielonego, to można poznać, że właściciel jego odbył pielgrzymkę do grobu Mahometa.

Na Wschodzie jest welon bardzo praktyczną ozdobą głowy u mężczyzn. Zresztą należy się welon przeważnie kobiecie — jest to jej stały i wierny towarzysz przez całe życie. Młoda matka okrywa nim troskliwie śpiącą w kołysce dziecinę — w miękkich fałdach spływa on na ślubnej sukni panny młodej i jako czarna żałobna zasłona zakrywa twarz płaczącej matki lub wdowy.

Empa.

ROZMAITOŚCI.

— *Nieznany list Kościuszki.* „Kuryer Warszawski“ pisze:

W archiwum zboru ewangelicko-augsburskiego w Warszawie znajduje się list Tadeusza Kościuszki, pisany we wrześniu roku 1794:

„Do Wielebnego Ks. K. H. Schmidta, Pastora Zboru ewangelicko-augsburskiego w Warszawie!

W czasach, gdy różnice przekonań liczne armie przeciw sobie uzbrajają, gdy miłujące wolność narody prawo istnienia swego potokami krwi okupować muszą — niema rzeczy odpowiedniejszej wzniosłym obowiązkom nauczycieli ludu jak usiłowanie wpajania weń właściwych pojęć o prawach jego i powinnościach.

Nie bez wzruszenia Czcigodny Mężu, dowiedziałem się, ile dokładasz starań, aby powierzony Twej pieczy Zbór, zarówno własnym przykadem jak i czerpanemi z najczystszej moralności wspomnieniami do gorącego miłowania Ojczyzny zagrzewać.

Ponieważ szerzenie podobnych zasad najlepsze tylko skutki za sobą pociągnąć może, wydałem przeto rozkaz, aby jeńcom wojennym pruskim każdego czasu w nabożeństwach Zboru Pańskiego uczestniczyć dozwolono, w przekonaniu, że nie zechcesz im odmówić ojcowskiej Swej nauki.

Przyjmij zarazem odemnie, Czcigodny Mężu, załączoną tu tabakierkę, nie jako nagrodę, bo tę tylko własne serce dać ci zdoła, lecz jako dowód mego szacunku, z którym zostaje jego powolnym sługą

T. Kościuszko.

Dan w obozie pod Mokotowem, we wrześniu 1794 r.“

* * *

— *Skarb małżonków ks. Wrede.* Ogromny skandal zajmuje teraz prasę niemiecką. Chodzi o mnóstwo kradzionych naczyń srebrnych, znajdujących się w meklemburskim zamku Basedow, rezydencyi ks. Wredego, który zamek ten wynajął od hr. Bassewitza, kuratora fideikomisu Hahna, właściciela zamku. Na skutek doniesienia wydalonego ze służby lokaja władze sądowe zarządziły rewizyę w zamku Basedow i znalazły rozmaite srebrne naczynia z zastaw stołowych, które, jak okazują monogramy sa własnością hotelu paryskiego Quai d'Orsay, tudzież kilku hoteli berlińskich. Ani ks. Wredego, ani żony jego sąd nie mógł przesłuchać na miejscu, oboje bowiem znajdują się w Madrycie. Od ks. Wredego otrzymała prokuratorya w Berlinie doniesienie, że ów ze służby wydalony lokaj żądał od niego listownie 50.000 franków odczepnego, grożąc w przeciwnym razie, że poruszy sądownie sprawę kradzionych sreber. Prokuratorya zarządziła uwięzienie lokaja, nazwiskiem Glase, który zeznał w śledztwie, że księżna Wrede zabierała po hotelach zastawy stołowe i wywoziła je w swoich kufrach. Pewnego razu miała zabrać w hotelu paryskim sosjerkę razem z jej zawartością i zapakować w kufrze. — W zamku Basedow odbyła się powtórnie rewizya sądowa, podczas której znaleziono bardzo wiele naczyń srebrnych, które należą do rozmaitych hotelów. Znaleziono też dwie skrzynki do lutowania z narzędziami, celem zalania monogramów hotelowych. Dalej spostrzeżono, że naruszoną została skrzynia, zawierająca srebro, które jest własnością fideikomisu. Sąd zabrał kwestyonowane przedmioty i umieśśił je w depozycie sądowym w Güstrow.

Ks. Wrede, liczący 57 lat życia, posiada drugą żonę. Pierwszą była p. Maldaner, która w r. 1881 wyszła w Wiedniu za mąż za Dobrzańskiego, wyznawcę religii grecko-kat. Dobrzański, zostawszy poddanym rosyjskim i przeszedłszy na prawosławie, uzyskał potwierdzenie swego małżeństwa od Synodu, a w dwa lata później rozwód. Ks Wrede poślubił Dobrzańską w Paryżu, ale również rozwiódł się z nią i zawarł związek małżeński z panną Carmen Dolores Benites de Alevar, która pochodzi z południowej Ameryki. Obecna księżna Wrede, licząc lat 50, ma być osobą niepopularną z powodu swojego usposobienia chimerycznego. Podobno cierpi na kleptomanię,. Podług pism niemieckich wartość skradzionych przedmiotów jest niewielka, są one bowiem nie z prawdziwego srebra, ale z poślednich mieszanin, znanych pod nazwą „nowe srebro“, „chińskie srebro“, „alpaka“ itd. Do Madrytu, gdzie obecnie przebywa ks. Wrede z żoną, udał się ze Szwerynu urzędnik sądowy, ażeby przesłuchać oboje małżonków.

Podług „Münch. Ztg.“ popełniono także w Monachium w pewnym z tamtejszych hoteli liczne kradzieże srebrnych naczyń stołowych, podczas gdy tam mieszkała ks. Wrede. W hotelach wiedziano o kradzieżach, dokonanych przez księżnę.

* * *

— *Barbarzyństwa socyalistów.* Socyaliści, jak wiadomo, nie przebierają zwykle w środkach, których się przy „uszczęśliwianiu ludzkości“ chwytają. Jak dalece ci apostołowie przewrotu umieją się posuwać, gdy chcą na kim się zemścić, o tem świadczy znakomicie fakt, który podaje organ piwowarów „Bundeszeitung“ do wiadomości publicznej. Z Pilzna, miasteczka w Czechach, piszą do tej gazety:

Całe miasto znajduje się w niebywałem podnieceniu z powodu niesłychanego zajścia, o którem doniesiono już policyi. Przewodniczący wiedeńskiej filii związku piwowarów, Mikołaj Czerny, bawiący obecnie tutaj, dał rozkaz torturowania robotnika Wacława Kopejtka, ponieważ podczas codopiero ukończonego strejku robotników piwowarskich złamał solidarność i nie chciał się przyłączyć do organizacyi socyalistycznej robotników piwowarskich. Rozkaz ten wykonano faktycznie w okrutny sposób. Kopejtka zwabiono do lokalu organizacyi, „Pod różą“, gdzie dokonano na nim tortur, przypominających średnio-wieczne czasy. Nieszczęśliwego robotnika schwyciło kilku mężczyzn, podczas gdy inni zdjęli mu obuwie z nóg i przypalili końce palców zapałkami, palące zapałki kładli mu w nos i brwi i rzęsy opalili. Tortury te trwały z małemi przerwami całe trzy godziny. Następnie zamknęli towarzysze Kopejkę w piwnicy, w której go bez żywności pozostawili aż do dnia następnego bez przytomności. Nowocześni ci oprawcy usiłowali Kopejtce przywrócić przytomność, a gdy im się to udało, wymusili na nim przyrzeczenie, iż o torturach wiecznie milczeć będzie. Gdy Kopejtko to przyrzeczenie im dał, zaprowadzono go na dworzec i odesłano go do stron jego rodzinnych.

Kopejtko doniósł o wszystkiem policyi i udał się do lekarza; wzrok jego według świadectwa tegoż ucierpiał na zawsze.

I tacy ludzie chcą się nazywać „bojownikami idei wolności!“ Wobec podanego powyżej faktu możemy śmiało nazwać frazesami pustemi gadaniny socyalistów na temat postępu, wolności osobistej i dobra ludzkości. Nie są one niczem więcej jak kłamstwami obliczonemi na zamydlenie ludziom oczu, w czem socyaliści są mistrzami.



Humorystyka.

Tolerowani złodzieje.

Gdy złodziej jawnie cudzą własność sprząta,
Biorą go za kark — pakują do kąta;
Z tej więc przyczyny, ci co w kozie siedzą,
Że kraść nie wolno, dobrze o tem wiedzą.

Ba! kraść nie wolno—wielkie to pytanie
O którem często różne bywa zdanie,
Boć przecie u nas tacy są złodzieje,
Do których każdy uprzejmie się śmieje,

Podaje rękę, wspólnie z nimi chodzi
I choć wciąż kradną, nic im to nie szkodzi.
Naprzykład taki, który grając w karty,
Bawi się w jakieś tak nazwane żarty.

Zawsze na krześle wyprężony siada
I wszystkie karty widzi u sąsiada.
Gdy gra się skończy — nie pomogą nieba,
Takiemu panu wszak zapłacić trzeba.

Jednak złodziejem nikt go nie nazywa,
Chociaż kradzionym sposobem wygrywa,
A jakże nazwać owego figlarza,
Który, gdy tylko sposobność się zdarza,

Siada bez grosza, o cenę nie pyta,
Gdy wygra, bierze, a gdy przegra — kwita.
To także złodziej, chociaż nikt nie zgadnie,
Siadając do gry, że ten panicz kradnie.

Sens więc moralnie z tego się wywodzi,
Że taki złodziej, co swobodnie chodzi
I nikt go nawet nie ma w podejrzeniu,
Gorszy jest od tych, co siedzą w więzieniu.

Wytłumaczyła.

„Proszę mamy!" — rzekła córka
Zechciej mi wyjaśnić przecie,
Co to znaczy ta reforma,
O której dziś mówią w świecie!

„W każdej z gazet pełne szpalty
Jedna broni — druga gani,
Co to są więc, ci wyborcy
Co to są znów ci wybrani?"

„Zaspokoję twą ciekawość!"
Matka na to jej odpowie
„Wiesz wybrane no to panny,
Wyborcy — kawalerowie!"

Tylko widzisz moja duszko
To się ach! zaporą stało,
Że niestety dzisiaj u nas
Tych wyborców bardzo mało!!"

Trzeźwy.

Mąż wraca do domu pijany.

Żona. Jasiu, jesteś znowu pijany?

Mąż. Nie, moja duszko, jestem zupełnie trzeźwy, tylko trochę zdenerwowany i bardzo znużony... Moje serce, gdzie są moje pantofle?

Żona. Pod twojem łóżkiem.

Mąż (po długiem szukaniu.) Proszę cię, moja droga... a gdzie jest moje łóżko?

Sonet majowy.

Jak maj, to maj.

Maj się kończy, w powietrzu woń upajająca,
Trawka taka zielona, zielenią się drzewa,
A słowiczek w gaiku tak wesoło śpiewa,
I wszystko się uśmiecha — krew zaś gra gorąca.

Wieszcz błądzi wieczorami, wzdycha do miesiąca.
Cisza! tylko zefirek czasami powiewa.
Wieszcz jednak, czy wierzycie, nudzi się, poziewa,
Spokój nocy majowej wraz z psami zamąca.

Psy wyją do księżyca... Wieszcz westchnął głęboko,
Sięgnął do portmonetki, zabłysło mu oko
I do siebie samego wystąpił z tą mową:

„Urządzę sobie dzisiaj zabawę szeroką,
I uczczę, jak potrzeba, teraz noc majową:
Będzie czosnek zielony, z wódką piołunową".

Na zamiejskiej przechadzce.

— O la Boga, ludzie ratujcie!

— A cóż to wam, kobieto, takiego?

— Co takiego? a dyć pies pana już mi dwa kurcaki zjadł.

— Dziękuję wam, żeście mi o tem powiedzieli, nic już mu na wieczór jeść nie dam.

Wspaniałomyślny Szmul.

Rzecz dzieje się na wsi.

— A czego tam chcecie, Szmulu?

— Jakto, czego ja chcę? Przyszedłem panu dziedzicowi powiedzieć, co ja już dłużej na moje pieniądze czekać nie mogę i co za to zabiorę wszystkie krowy!

— Ależ, mój Szmulku, zabierając mi wszystkie krowy, zniszczycie mnie ze szczętem!

— Nu, to ja nie taki zły, jak pan dziedzic myśli... Ja poprzestanę tymczasem na procencie od krów... Jaśnie pan będzie ich sobie trzymał, żywił w oborze, a ja będę ich tylko — doił.

Nie ma szczęścia.

Uczeń, wchodząc do szkoły do swego kolegi: „Ach, wiesz, na Fryderykowskiej ulicy widziałem, jak koń padł i został na miejscu".

Drugi uczeń: „Że ja też nigdy nie widzę, jak się coś takiego stanie. Wcale szczęścia nie mam".

Pan Moryc się gniewa.

(Rozmowa między małżeństwem).

— Moryc, uspokój się! Nasz Izydor przyrzeka, co un ostatni raz już zrobił tego długu!... Ty jemu przebacz! Ty masz dobre serce!...

— Co ty mówisz o moje dobre serce! Moje serce zawsze mu z góry przebaczy, tylko coby moje kieszeń nie miała do przebaczenia takie grube sumy.

Do hr. Wittego.

A kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów!
Dość mydlenia oczu, chytrych słów.
Ze szczytu drabiny wpadłeś w rów,
Więc, choć ci niemiło — leż w nim zdrów!



710

Najtańsze, najlepsze i najkorzystniejsze

muzyczne instrumenta

nabyć można u

Założono 1790. **W. Eibicha.** Założono 1790.

Stara polska firma w Poznaniu.

I skład: ul. Wrocławska 60, narożnik Starego Rynku
II skład: ul. Dolna Wałowa 1.

Amerykańska gitarowa cytra zaraz bez nauki do grania z nutami, wszelkiemi polskiemi piosenkami i tańcami za 8,50 marek. Lepsze 10 mk., 15 mk. i 20 mk.

Bóg z nami! Bóg z nami!

Wielka - Warszawska - Koncertowa - Harmonika.

Harmonika Warszawska wyszła w tych dniach 33 cm. wysoka, 55 cm. długa, 17 cm. szeroka, miech z dwiema mocnemi balkami opatrzony, z niklowej blachy okute narożniki, sprężynki stalowe, organowy głos, 2 klucze, **tylko 4 marki,** 3 klucze 5 mk. 4 klucze 6 mk. — **Krakowska harmonika:** 5 lat gwar., cała z baleczek budowana, które są całkiem niklową blachą okute, dubeltowe dno, tak iż klawiatura nie może nigdy się ściągnąć, 2 klucze 48 głosów tylko **7 mk.** 3 klucze, 70 głosów 8 mk. 4 klucze, 90 głosów tylko 10 mk. **Harmonika** 6 kluczy prawdziwych do wyciągania, 136 głosów, tylko 15 mk. — **Skrzypce** dla każdego gracza, imponujące, wartość 10 mk., tylko 6 mk. z smyczkiem. **Skrzypce** lepszego gatunku z pudełkiem i smyczkiem tylko 10 mk. **Skrzypce** dla preperandów z pudełkiem i smyczkiem tylko 12 mk. **D. Klarnety** czarne z 5 klapami na wałkach mosiężne tylko 6 mk. **A. B. C. D.** i **Es. klarnety** z 6, 7, 8, 10, 12 klapami od 10 do 30 mk. i t. d. **Fletowersy, trąbki, bębenki** dla szkół, muzyki orkiestrowej i straży ogniowej. **Cello i kontrabasy** w różnych gatunkach. Do **akordowej i gitarowej cytry polskie nuty:** i wszelkie inne istniejące.

Zamówienia odsyła się pod największą zadowalniającą usługą przez pocztę. **Polskie i niemieckie cenniki** na żądanie gratis i franko.

Aby uniknąć zwłoki w przesyłkach proszę adresować wyraźnie jak następuje: **W. Eibich, Posen, Breslauerstr. 60,** oraz proszę swój adres własny dokładnie podać.

Były

nauczyciel Polak

liczący 28 lat który skutkiem ciągłych szykan ze strony swojej władzy jedynie za to, że jest Polakiem, zniewolony był urząd złożyć, poszukuje miejsca jako **kasyer dominialny,** lub **w instytucyi bankowej,** lub też innego odpowiedniego zajęcia.

Laskawe oferty uprasza się pod lit. **N.** do eksp. „Pracy“.



Wybór wielki!

Kapelusze 164

filcowe i słomkowe.

Krawaty.

Kamizelki.



W. Hahn.

Poznań Tel. 1924.

Rynek 55. Tel. 1924.



Bielizna

biała i kolorowa.

Rękawiczki.

Laski. — Parasole.

Ceny nadzwyczaj tanie.

Parcelacya

Mój folwark **w Żelicach** powiat wągrowiecki, okolica zamożna i szczeropolska, sprzedam natychmiast pod korzystnymi warunkami spłaty.

Wieś Żelice ze szkołą i pocztą w miejscu, jest od kościoła parafialnego i stacyi kolejowej trzy kilometry odległą. 324

Folwark z dwoma kompletnemi zabudowaniami ma około **173 mórg** obszaru, z rzadko dobrą łąką, z nieprzebranym pokładem torfu; ziemia we wysokiej kulturze, jest pszenna i jęczmienna, znakomicie obrobiona i starannie obsiana, to też piękne, bujne urodzaje zapowiadają bogaty sprzęt; budynki obszerne i wygodne, doborowy inwentarz itd.

Żelice sprzedam też jako **dwa gospodarstwa** w obsarze tylko po ca. 86 mórg, w tem łąka z torfem, kompletnie odbudowane, z żywym i martwym inwentarzem.

Pojedyńcze parcele roli sprzedam już od jednej morgi począwszy. Chętnych kupna proszę zatem o spieszne przybycie.

B. Kośmider, interes zbożowy.

Wągrówiec-(Wongrowitz). — Telefon nr. 43.

Doświadczony

maszynista

umiejący dobrze przyrządzać autotypie i klisze do druku trzema kolorami, znajdzie natychmiast posadę w

„Gazecie Grudziądzkiej“

Grudziądz 323

(Graudenz W. Pr.)

OBERŻĘ

moją położoną przy targowisku, istniejącą około 30 l., połączoną z handlem kolonialnym i zbożowym, z zajazdem, stajnią na 20 koni, mam zamiar z powodów stosunków familijnych zaraz pod bardzo dogodnymi warunkami sprzedać. Zgłoszenia przyjmuje 319

Wanda Radecka

w Wągrówcu (Wongrowitz).

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

J. WIŚNIEWSKI,

Księgarnia — ul. Tumska 3.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

Edmund Karlowski.

—

Jedyny

POLSKO-KATOLICKI

magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.

Leon Mozdrzanowski.

Kępno.

Hotel pod białem Orłem
L. Hubert.

Jed. polski hotel w Kępnie i okol. pol. Szan. Publ. swój hotel i restauracyą, dobrą kuchnią, wygodne pokoje. Szan. pp. wojaż. pol. tanie a dobre pokoje. Usługa skora i rzetelna, ceny przystępne.

Kostrsyn.

Michał Woźny

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy gotowej garderoby mężkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

Stanisław Augutyniak

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d. Skład dzwon bukowych. Papy na dachy.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu

Pobiedziska.

M. Koczorowicz

w rynku poleca **obuwie** od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych. Swój do swego!

Pleszew.

Skład kół i maszyn do szycia, również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Ostojski,**

Smigiel.

J. Karpiński.

Pracownia gard. mężkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Strsałkowo.

Nawjększy dom towarowy

W. Ziarniaka

poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby mężką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.

Równocześnie połecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

—

JAN BOGACZYK

poleca swój bogato zaopatrzony skład w materyach na suknie i wszelkich towarach łokciowych, krótkich, galanteryjnych, garderobie mężkiej i artykułach dewocyjnych, prosząc o łaskawe poparcie.

—

Antoni Matczyński

poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie.

W. Bogacki

Srem.

TADEUSZ SZRAJBER.

Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.

Cenniki gratis i franko.

A. Zwierzchowski, pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.